

PIEŚNI,

PODANIA, BAŚNIE, ZWYCZAJE I PRZESĄDY LUDU

Z MAZOWSZA CZERSKIEGO.

ZEBRAŁ

Kornel Kozłowski (*).

Z małego zakątka naszej ziemi, nie jeżdżąc, ani chodząc, ani gdzie daleko poszukując, prawie z domu się nie ruszając, udało się przecież zebrać zbiorek pieśni i podań ludowych niepośledni, w którym oprócz pieśni śpiewanych w całej niemal Polsce a znanych z wielu dotychczas wyszłych na widok publiczny zbiorów znajdują się i takie, których nigdzie dotąd napotkać się nie dało.

Prawda, że się zbierało pilnie a ustawicznie lat parę; miejscowość wszakże pieśni tych, ledwie w promieniu dwóch mil od starożytnego miasteczka Czerska nie przechodzącym oznaczyć można.

Ta okoliczność, iż w tak szczupłej przestrzeni, znalazło się przecież taką liczbę pieśni, podań i melodyj, powoduje mną, iż puszczając w świat niniejszy zbiorek, pragnę zwrócić uwagę czytelników na ważność w. tej mie-

(*) W jednym z poprzednich zeszytów naszego pisma podaliśmy krótką wiadomość o szacownej tej pracy; teraz podamy z niej kilka ustępów, które wskażą jej wartość i zarazem potrzebę ogłoszenia całości wraz z pieśniami i melodyjami.

Przyp. red.

rze poszukiwań w obrębie pewnych miejscowości zamkniętych.

Grzebiąc w niezmierném bogactwie naszej poezyi ludowej i wyczerpując jęj utwory, okolicami, ziemiami od parafii do parafii, od wsi do wsi chodząc i podsłuchując, to w karczmie, to na polu, to przy robocie, to rozlicznym uczestnicząc obrzędom, uroczystościom smutnym albo wesołym od pierwszego kwilenia dziecka aż do pobożnej pieśni towarzyszącej trumnie wieśniaka, tym jedynie sposobem zestawiając prace pojedyncze, dojść możemy do ogólnego zbioru pieśni naszego ludu, a z czasem do nader pożądanego w przyszłości zbioru pieśni ludów słowiańskich.

Dzieło monumentalne, na dokonanie którego ani praca, ani wiek pojedynczego człowieka wystarczyłby nie potrafiły, a do którego tylko drobnemi usiłowaniami na wzór obecnego dojszby można.

Ztąd łatwo zrozumieć, jaka jest wyższość zasługi zbiorów pieśni ludowych, szczególnych okolic, nad zbiorami nie mającemi kresu, a rozstrzelonemi bez celu po obszarach, których wyczerpać nie potrafią; dziś tém bardziej, kiedy potrzeba poznania ogólnego ducha poezyi ludowej, pieśni ludów szczepu polskiego, a nawet w ogóle ludów słowiańskich, już oddawna jest zaspokojoną staraniem wielu autorów i badaczy tak naszych, jak i po-bratymczych nam ludów, Czechów, Rusi i Serbów.

Praca takowa w zakresie swoim nieograniczona, dzisiaj już mimo obudzonego zamięłowania do rzeczy swoich ludowych, musi zmarnieć bez celu, ani téż owocu pożądanego wydać nie potrafi. Doszliśmy dzisiaj do tego, że o potrzebie poznania pieśni i podania ludowego rozwodzić się nie potrzebujemy, jako o rzeczy powszechnie i dawno uznanej; nie potrzebujemy nawet, jak sądzę, mówić o ogromnej zasłudze, jakaby wyświadczyło dzieło monumentalne, o którym tylko co wspomnieliśmy; ile byłoby pożytecznóm dla historyka filozofa i myśliciela, w ogóle dla badacza zgłębiającego losy, dzieje, naturę charakterów, wędrówki i przemiany, przeszłość i przyszłość Słowiańszczyzny.

Dziś nawet dalej jeszcze jesteśmy od czegoś podobnego, ależ do nas należy starać się i gromadzić materiały.

Z tego też względu uważam niniejszy mój zbiorek i wszelkie jemu podobne za pożyteczne i publikacyi godne, jako będące krokiem wprawdzie małym, ale zawsze krokiem na drodze prowadzącej do celu pożytecznego.

Wbrew ustalonemu powszechnie przekonaniu i dla zachęty tych, którzyby chcieli trochę zbywającego im czasu poświęcić dla dobra nauki i kraju, powiemy tu, że nie jest bynajmniej rzeczą trudną zbierać pieśni i podania ludowe: zasługa tu jest większa od wyłożonej na to pracy i zachodu; potrzeba tylko zamilowania i stósownego wzięcia się do rzeczy.

Wprawdzie rozumiemy to dobrze, jako rzeczy te szły z ogromnym oporem i trudnością tym, którzy jak Chodakowski, puszczali się na wędrówki po kraju, jeszcze gorzej tym, którzy jak Łukasz Gołębiowski starali się poznawać lud z książek.

Wieśniak nasz z położenia swojego socyalnego, z charakteru wiekami wyrobionego, jeśli mało ma zaufania do swojego proboszcza lub dziedzica, nie ma go wcale do człowieka, którego nie zna, a którego podejrzewa, że może być *szlachcą*, albo panem.

Jakże od niego żądać, żeby się wynurzał i otwierał przed każdym z wędrowców, chciwych jego pieśni, jego *serdecznego słowa*?

Rodzimy klejnot, ta poezya, owa pieśń ludowa, zbyt jest rzeczą szacowną i drogą, uczucie serca, z którego płynie nazbyt święte, ażeby niemi poniewierać i rzucać każdemu z przechodniów.

Potrzeba z ludem żyć, z nim cierpieć i z nim się radować, złą i dobrą dolę z nim wspólnie ponosić, ażeby się do niego zbliżyć i serce jego pozyskać.

Nie dla każdego rzeczą to jest łatwą i możebną, ale dla nas, dla wieśniaków-obywateli, którzy codziennie z ludem obcujemy, na których życie i sprawy codzienne wieśniak ustawicznie patrzy i z nami przestaje, przy dobrej woli, możeby nie było zbyt trudno wejść powoli

z tym ludem w zażyłość i obudzić jego zaufanie do tyła, ażeby się przed nami nie krył z tajnikami swojego serca lub wewnętrznym nastrojem swęj duszy.

Nie mówi się o chwili obecnej, ani téż o okolicznościach pobocznych przeciwnie temu działających, a od woli naszej niezależnych; ale że tak jest, albo, że tak może być w stanie normalnym, dowodzić tego nie potrzebujemy, gdyż o tém mówią fakta, dziś niezbyt liczne, ale jednak tu i ówdzie się zdarzające. Młodzi ludzie, synowie dziedziców powracający ze szkół do domu, często bardzo przed rozpoczęciem swojego zawodu mający najwięcej czasu swobodnego, którym dowolnie rozporządzać mogą, jeśli nie nazbyt w oddaleniu trzymają się od swoich włości, ci najwięcej i najprędzej mogliby przyłożyć się do złożenia jednego wielkiego zbioru, którego wartości, gdyby tylko był kompletnym, dość wypowiedzieć nie można.

Przed niemi wieśniak chętnie i piosenkę zaśpiewa i bajkę opowie i na wesele poprosi i do chałupy rad przyjmie.

Pożądanémby było, gdyby kiedy młodzi miłośnicy kraju i rzeczy swojskich, powodowani myślą, którąśmy dopiero co wyrazili, z różnych stron naszej ziemi pomiędzy sobą się znieśli i pracę tę wspólnemi siłami prowadzili. Przy dzisiejszych dążnościach i zrozumieniu prawdziwych potrzeb kraju, głos ten może nie będzie głosem wołającego na puszczy.

Pożytek pracy takowej rozumnie poprowadzonej, byłby tém większy, że nie posiadamy dotąd w literaturze naszej żadnego zbioru pieśni i podań ludowych, któryby zadaniu swemu w zupełności odpowiadał.

Zbiory takie, jak Wacława z Oleska, jak Zejsznera, Konopki, Żegoty Pauli, bardzo są szacowne i pożyteczne; ale na wzór tamtych prowadzone dzisiaj i obok tamtych nie miałyby wartości i byłyby pracą daremną.

Ducha pieśni naszego ludu poznaliśmy dosyć, jakotóż i nauczyliśmy się cenić wartość tego rodzimego źródła Helikonu, zawsze pełnego świeżości i życia.

Dowiedli tego już pisarze złotéj epoki naszej literatury, jak Kochanowski, Zimorowicz, Klonowicz i poeci

czasów ostatnich, jak Mickiewicz, Zaleski, a nawet Słowacki i muzycy, jak Szopen, którzy dziwnie się lubowali w pieśni gminnej, przejmowali jęj tony i z niej czerpali wątek i natchnienie.

Pod tym więc względem, pod względem zobrazowania ducha wiejącego w pieśniach polskiego ludu, w ogóle od ujść Wisły do brzegów Dniestru i szczytów Karpat, dosyć, jak nam się zdaje, dalekośmy już postąpili (1).

Ale obecnie szukamy czegoś więcej, szukamy wspomnień przeszłości, starych tradycyj przedhistorycznego życia, pamiątek wiary, obyczajów, charakteru, stosunków rodzinnych i społecznych śladów naszych wędrówek i dawnych siedzib, dawnego braterstwa, czy też wspólności rodu, szukamy naszej kolebki, którą dziś z pieśni i tradycyi gminnej odgadujemy.

Myśl nie dzisiejsza, którą, że nie mówimy o czasach dawnych, podniósł jeszcze Kołłątaj w r. 1802, nakreślając plan do dzieła, któregoby zadaniem był lud, jego tradycye, pieśni, obrzędy, zabawy, ubiór, zwyczaje, gusła, zabobony i t. d.

Tą samą myślą powodowane w r. 1828 ówczesne warszawskie Towarzystwo przyjaciół nauk ogłosiło nawet konkurs na dzieła treści podobnej.

Dziś więc może, jak wtedy czujemy ważność i potrzebę studyów podobnych, w jakiejże to nieocenionej wartości byłby zbiór kompletny, wyczerpujący przedmiot i dający zupełną możność dla badacza, rozejrzenia się w skarbach podania i pieśni, które nam lud nasz dochował.

Potrzeby tej nie zaspokoją zbiory dorywcze, na wzór Wacława z Oleska lub Konopki, bez ostatecznego możliwego wyczerpania przedmiotu, bez planu, ani też bez ścisłego oznaczenia miejscowości prowadzone (2).

(1) W naszej literaturze największą ma pod tym względem zasługę K. Wł. Wójcicki, którego zbiór pieśni gminnych wydany w Warszawie r. 1836, najdokładniejszy ze wszystkich, zawiera w sobie pieśni z rozlicznych okolic naszej ziemi. Pod tym względem zbiór Wójcickiego ma niezaprzeczoną wyższość nad innemi.

(2) Większej nierównie wartości pod tym względem jest późniejszy od tych zbiór Oskara Kolberga, w którym miejscowość pieśni ściśle jest

Co do nas, zbioru naszego nie podajemy wcale za dobry; jedyną naszą zasługą mogłaby być jego zupełność wyczerpująca okolice, w której przedsięwzięliśmy naszą pracę, ale i za takową ręczyć nie możemy.

Zbierała się wprawdzie lat parę, ale z doświadczenia to wiemy, że nie lat dwa, ale dwadzieścia potrzebaby śledzić, chcąc wszystko wyczerpać i uczynić zbiór zupełnym.

Nie mieliśmy czasu ani sposobności po temu, jakkolwiek przecież może tu dużo brakować, możemy zapewnić, że to jest pierwszy zbiorek, który z tak małego zakątka, tak znaczną liczbę pieśni potrafił w sobie zgromadzić.

Jak każdą pracę, tak samo i krzątanie się około zbiorów pieśni ludowych należałoby zapewne prowadzić systematycznie, należałoby dla pieśni potworzyć pewne działy, zastosowane do ich dawności charakteru, miejscowości i t. p.: jednem słowem potrzebaby wprowadzić pewien ład do pracy, ażeby z niej osiągnąć rzeczywisty pożytek i nie marnować daremnie czasu i starania.

Dzisiaj jednakże rzeczą to jeszcze jak mi się zdaje jest niemożliwą, i pozostanie takową dopóty, dopóki nie przyjdziemy do jednego ogólnego zbioru naszych pieśni.

Pojedynczym usiłowaniom trudno jest narzucać formy, któreby tamowały swobodę i działalność i któreby przez to przynosiły szkodę nie pożytek; pierwój trzeba zgromadzić materiały, a dopiero zestawzić je podług jednej myśli, któraby wskazywała rzeczywisty ich cel i pożytek.

Zanim jednakże na to zdobyć się potrafimy, zdaje mi się, że z pomiędzy pieśni ludowych, wyróżnić należy przede wszystkim jeden dział tychże, może najważniejszy i najwięcej pewno interesujący, dział pieśni opiewających pewne zdarzenia i wypadki, niejasne, ciemne, tajemnicze, gdzieś w głębi czasów prastarych zamierzchłe, w nieokreślonej przestrzeni krain słowiańskich rozpierzchłe, których początek sięga może pierwszych czasów słowiańskiej społeczności i które u nas może właściwie zająćby powinny dział zachowany gdzieindziej, dla pieśni historycznych, gdyż u nas są może tradycją czasów tych, kiedy lud a nie

podaną; wszakże Oskar Kolberg głównie poświęcił swą pracę zbieraniu melodyj i w tym względzie jest pierwszym i do tego czasu jedynym.

klasa tworzyła społeczność narodową; są pewno tradycją taką jakimi były w starożytnej Helladzie rapsody te, które się złożyły z czasem na Iliadę: są tradycją tak starą, iż się zmieniły w bajkę.

Historia nie zapamięta czasów wspólnej i wielkiej Słowiańszczyzny, ani też nie tworzy sobie jasnego pojęcia o tém co było na tych obszarach, na których się później zorganizowała Ruś, Polska, Czechy, Serbia i inne rozliczne podziały narodowości; idea taka jest dziś chimera, a jednak też same i jedne fakta, też pieśni w jednym i tym samym układzie, w jednych często wyrazach choć w różnych narzeczach, opiewa lud w Polsce, na Rusi, w Czechach i w Serbii.

W pośród tej wielkiej Słowiańszczyzny osiadł lud obcy plemieniem i mową, który jednakże od niepamiętnych wieków ocierał się codziennie o Słowian, z którymi się w końcu zbratał i zjednoczył: lud litewski.

Jednakże pieśni tego ludu nie mają nic wspólnego z naszymi, tysiąc lat codziennych stosunków i wspólnego pożycia, nie zostawiły wspólnych wśród gminu tradycji. Coś tam jest więcej w tém błakaniu się ludowych pieśni jednych i tychże samych po Słowiańszczyźnie, więcej jak sąsiedztwo i rodzinne stosunki: jest to wspólność kolebki, tradycja, dzieje kiedyś wspólne....

Wprawdzie przeciwko temu powiedzieć można, że w pieśniach, o których mowa, niema nic coby było wspomnieniem z życia politycznego, publicznego praojców naszych Słowian, nic bohaterskiego, historycznego, dziejowego: są to po największej części opowiadania zdarzeń domowych lub wypadków, które co najwięcej w obrębie małego kółka, w granicach siola lub gminy, mogły wrażenie wywierać.

Wyobraźnia ludu, fantazja, która zwykła rzeczy w oddaleniu będące potwornie powiększać, drobne fakta podnosić do wysokości czynów bohaterskich, tutaj zupełnie nas zawodzi.

A jednak owe drobne na pozór fakta, zdolne zaledwo poruszać szczupłe kółka domowe, utrwały się w pamięci ludu na całym obszarze niezmierniej owej Słowiańszczyzny.

Albo wyobraźnia ludu przywykłego kiedyś żyć w gromadkach, w gminach, rzeczy ogólnego i wielkiego znaczenia ściągała do ciasnych granic gminy i stosowała do pojęć tych w jakich żyć przywykła; albo téż może podług tego, faktu wielkiego i powszechnego znaczenia przyoblekała allegoryą, dziś dla nas niezrozumiałą i niepojętą.

W każdym razie pamiętać należy, że gromady kiedyś Słowian jakkolwiek liczne, nieprzeliczone, nie stanowiły nigdy ciał jednolitych, narodowości organizowanych; że pojęcia towarzyskie, które pomiędzy niemi potrafiły kiedyś stworzyć co najwięcej gminę, niezdolne były wydać bohaterskiego poematu, na wzór greckiego epos: po za granicami domowej zagrody lub siola, kończyło się dla nich życie publiczne i wzajemność stosunków.

Poemat słowiański o Igorze, rękopism Krółodworski, poemata serbskie, są płodami czasów daleko późniejszych; powstały wówczas, gdy przepadła starosłowiańska gmina, a Słowianie ugruppowali się stanowczo w oddzielne narodowości, wyrabiające sobie organizacyą nieskończenie rozleglejszą od gminną.

Ten sam jednakże rozwój dziejowy, który tworzył gdzieindziej poemat bohaterski, wiadomo, że dziwnie u nas utonął w niepamięci i milczeniu.

W nieprzebraném mnóstwie naszych pieśni ludowych, niema ani jednej któraby była historyczną, któraby opiewała fakt jakiś dziejowy, czyn bohaterski, wypadek powszechnego dla kraju znaczenia, walkę lub zwycięstwo.

Wątku do takich pieśni u nas nie brakło, było go pewno więcej jak na Rusi, w Czechach albo Serbii; od najdawniejszej epoki historia nasza przedstawia szereg ciągłych walk, zwycięstw i ofiar, szereg wypadków i czynów zdolnych rozbudzić pieśń wieszcza godną pamięci ludu.

Takiem było w samych zaraz początkach panowanie naszego Bolesława Chrobrego, którego czyny i żywot rycerski, wspaniałość, potęga i wielkość, mogłaby dostarczyć treści jak najbogatszej dla pieśni i poematów; takimi były ciągle walki i ucierania się to z Tatarami, to z Rusią, to z Niemcami, to ze Szwedem, to z Turkiem.

Naród odnosił najświetniejsze tryumfy, przechodził próby najcięższe, chwile najkrytyczniejsze, w których lud

nie mógł pozostawać widzem obojętnym i nieczynnym; albowiem te bezpośrednio jego samego dotykały, jak wczasie najazdu Szwedów, patrzył lud z boleścią na upadek ojczyzny, biegł sam pod Kościuszkę na pole bitwy, ratować kraj z upadku, a jednak o tém wszystkiém w jego podaniach i pieśni głucho: synowie nie wiedzą co się za życia ojców działo, a cóż dopiero za dziadów albo pradziadów.

Sympatyczne dla ludu wiejskiego panowanie Kazimierza Wielkiego, którego piśmienne podania aż *królem chłopków* nazwały, w pamięci ludu ani nawet śladu nie zostawiło po sobie.

Jaka była tego przyczyna? Czy lud był u nas zawsze tak martwym i obojętnym?... a raczej czyli to milczenie jego pieśni i tradycji ma dowodzić obojętności zabójczej i smutnej?...

Jest w tém pytanie do dziś nierozstrzygnięte, ale nad którem warto się zawsze najmocniej zastanawiać; pytanie, z którym się może łączyć w przyszłości kwestye najżywniejsze...

Wiadomo, że Polska jako naród uorganizowała się przez szlachectwo, że egzystencya dawniej Polski, była nieczem inném, tylko egzystencyą polskiego szlachectwa, albowiem lud wiejski nie funkcyonował, w organizmie tym który go zamykał w ciasnej niewoli rolniczej pracy i też jego pracę na swoją korzyść eksploatował.

Ale nie zgadzam się na to, ażeby jak utrzymuje wielu, to smutne niegdyś socyalne położenie naszego ludu wiejskiego, znalazło tego rodzaju odbicie się w usposobieniu moralném, wywołując dziwną jakby negacyę w jego milczeniu i niepamięci.

Milczeniem nie wiele można wyrazić, lud prędzejby narzekał, skarżył, jak milczał, a przytém pamiętać należy, że nie tylko chłopci, ale i szlachta tworzyła kiedyś to, cośmy przywykli dziś determinować mianem ludu.

Szlachty nie tworzyło bynajmniej kilkuset magnatów i dygnitarzy; były tego w kraju krocie, ubogiej ciemnej niczem nie różniącej się od chłopów, prócz swego indygenatu i posiadania małego kawałka ziemi na własność.

Ta więc szlachta, którą uważając za klasę, przywykliśmy z tego powodu może za bardzo dzielić od ludu, nie

tylko, że materyalnie niczém się nie różniła od chłopów, ale nawet przez swoją liczebną masę, stanowiła rzeczywście stan liczny, silny i przeważny, który już za Zygmunta I, mogąc w 150,000 zbrojnego męża gromadzić się na zawołanie królów, jak to miało miejsce r. 1537, w czasie wojny Kokoszej pod Lwowem, była rzeczywście masą, była ludem godnym większej uwagi od obojętnego i bezsilnego, włościaństwa: lud to był pełen życia i siły.

To więc co powiadają o ludzie wiejskim, iż żyjącemu w ucisku obojętne były losy walk i koleje, przez jakie naród przechodził, jako będące bez wpływu na jego stan upośledzony, tego do szlachty stosować nie można.

Dlaczego jednak ten lud szlachecki, jak to dziś jeszcze widzimy, nie miał ani innych tradycji, ani zwyczajów a przynajmniej bardzo mało różne od chłopów; dlaczego lud ten miałby być tak samo na wypadki krajowe obojętnym? a przecież i lud ten tak samo jak lud wiejski nie stworzył u siebie ani pieśni, ani żadnej tradycji historycznej.

Massa drobnej szlachty zaludniająca niegdyś kraj, następnie kolejną wypadków tak dalece zmalała, iż tego zniknięcia nagłego inaczej wytłumaczyć nie można, jak tylko przez pomieszanie się z chłopstwem.

Wiadomo, że w społecznym organizmie dawniej Polski, szlachectwo nie było czém inném, tylko gruntem, na którym rosło i utrzymywało się możnowładztwo. Z upadkiem tego politycznego gmachu, znurowanego przez oligarchią, skonał duch szlacheckości, drobny szlachcic więcéj jeszcze może jak możny, pozostał dziś czémś niezrozumiałém, niepojętém, niepotrzebném, jest prawdziwą anomalią obecnego czasu i ducha.

Dopóki mógł utrzymać najdrobniejszą choćby fortunę, póty się trzymał swojej szlacheckości, swojej szlacheckiej ambicji, mając się za coś wyższego nad chłopą (1);

(1) Razu pewnego byłem świadkiem charakterystycznej kłótni uboższego szlachcica z bogatym chłopem. Chłop zarzucił szlachcicowi jego gołiznę, chwając się, że sam jest tyle zamożnym, iż mógłby czapkę ruble mierzyć. Na to ambitny szlachcic odpowiedział: „Choćbyś ty chłopie nie czapką, ale ćwiercią ruble mierzył, to wiedz, że z dziada pradziada jam zawsze szlachcic, a tyś cham!”

skoro wypadki losowe, lub nędze wyгнаły go z ostatniego kawałka ziemi, rzucał szlachectwo, szedł w służbę za parobka, a jego dzieci traciły wszelką pamięć dawnego pochodzenia (1).

Ogromna massa szlachty przeszła tym sposobem w chłopów i z niemi się pomieszała: są w kraju okolice niegdyś zaludnione prawie wyłącznie zaściankami, jak okolice Czerska i Góry, w których dziś nawet nie posłysz o zagonowym szlachcicu.

Gdzież są resztki, albo wspomnienia, jakie pozostały po nich w pieśni lub w opowieści ludowej tradycji? spuścizna jeżeli była jaka, przeszła do ludu wiejskiego.

Żyją wreszcie szczątki ostatnie tego społeczeństwa, czekając rychłej zagłady, i możemy przekonać się naocznie, że takowe w domowym pożyciu, w obyczajach, niczem się nie różnią od chłopstwa, ani też prócz szlacheckiej ambicyi niczego z przeszłości nie zapamiętały.

Nie wyprowadzamy wniosków, a wskazujemy na fakt, który jak wszystko, musi mieć swoje przyczyny.

Podług tego jednakże przekonywamy się, że nie tam gdzie dotychczas ale gdzieindziej szukać należy powodów braku pieśni historycznej ludowej; nie w rozwoju dziejowym narodu, nie w wadliwości jego organizmu towarzyskiego, ale może raczej w wewnętrznym rozwoju ducha narodowego, w charakterze, usposobieniu sielskiem, przywiązaniu do strzechy rodziny i zagonu. Dom i rodzina były zawsze ideałem szlachcica i chłopka polskiego, do

(1) Mieszkając obecnie w okolicy, w której się jeszcze dosyć zaścianków utrzymało, widzę tego liczne i codzienne prawie przykłady.

Drobny szlachcic żyjący w nędzy i ciemnocie, dopóki ma choć parę morgów własnej ziemi, zachowuje całą staroszlachecką ambicję, która ogłosiła że i szlachcie na zagrodzie, równy wojewodzie.

Przyszedłszy do ostatniej nędzy, skoro już utrzymać swego kawałka nie może, wyprzedaje wszystko cokolwiek posiada, nie sieje, nie orze, wyprowadza ostatnie ziarno, ostatnią słomkę do ludzi, płot pali, dach ze stodoły obdziera i dopiero spuściznę swoją sprzedaje, zostawiając następcy tylko niebo i ziemię. Wówczas wynosi się o mil parę na komorne, dopóki ostatnia potrzeba nie zmusi go wejść w służbę i przemienić w chłopą. Nędza i ciemnota w połączeniu z szlachecką hardością doprowadza tych ludzi do występku, stosunkowo częściej jak chłopów,

nich zmierzał, o nich marzył w dalekich bojach i wyprawach: jeden i drugi spoczynek domowy uważał jako największe dobro.

Wszakże to, co było u nas powodem braku pieśni bohaterskiej, było znów główną przyczyną rozwinięcia się na tak ogromną skalę liryzmu; lud, który milczeniem zbywał najważniejsze wypadki narodowe, w ciasnym ognisku domowym stworzył dla siebie prawdziwy dramat, uroczystości weselne, a na zewnątrz ulotną piosenką wyrażał uczucia serca i wrażenia, jakie odbierał ze świata zewnętrznego.

Pod tym względem lud nasz posiada niewyczerpane bogactwa.

Wspomnieliśmy wyżej, że z pomiędzy pieśni ludowych, wyróżnić należy przede wszystkim takie, które niewątpliwie są zabytkiem czasów najdalszej starożytności, czasów starosłowiańskiej przeszłości i pogaństwa.

Pieśni takowe, jako będące pozostałością czasów odległych, bajecznych i ciemnych, lubo nie doszły do nas może i w dziesiątej części swojego pierwotnego układu i brzmienia, wszakże musiały cośkolwiek przecież dochować z czasów tych, których są dzisiaj pozostałością.

Że takich pieśni pomiędzy naszym ludem jest dużo, dowodzić nie będziemy, gdyż rzecz sama mówi za sobą, a każdy bacznie przysłuchujący się tymże dojdzie do tegoż samego przekonania.

Za takie właśnie uważamy pieśni te, które śpiewane są w różnych narzeczach po całej niemal Słowiańszczyźnie; a również i takie które przystosowane do pewnych dorocznych uroczystości, świąt i obrzędów chrześcijańskich, nie mają na pozór nic wspólnego z temi a natomiast opiewają albo jaki czyn rycerski, albo wypadek, zdarzenie niezwykle, lub zwyczaj, gusła i wiarę z czasów niechrześcijańskich, albo wreszcie używając metafor takich, o jakich lud dziś zapomniał, a do odgadnięcia których znajdujemy klucz w religijnych pojęciach dawnych Słowian. Pod tym względem im więcej przysłuchujemy się owym pieśniom, im bardziej przybliżamy się do znaczenia ich symbolicznego, szukającego w świecie zewnętrznym zobrazowania wewnętrznego stanu du-

szy i uczucia, tém bardziej uczymy się poznawać i cenić piękność, świeżość i niezmierne bogactwa téj poezyi, a nadto uznajemy całą jęj ważność i pożytek dla przyszłego badania dziejów przedchrześcijańskiej Słowiańszczyzny, jako niewątpliwęj pozostałości staro-słowiańskiej społeczności.

Lubo więc nie zaprowadzamy przedwcześnie żadnego systematu w zbiorach pieśni ludowych, wszakże podług naszego przekonania, w zbiorze tym starałem się oddzielić pieśni, które są niewątpliwie pozostałością staro-słowiańskiej przeszłości, od pieśni będących utworami czasów późniejszych.

Cały dział pierwszy, wyłącznie powieściowy jest właśnie takim; dużo znajduje się pieśni podobnych i w dziale drugim; dział trzeci zawierający w sobie pieśni doroczne i obrzędowe, najwięcej może stosunkowo ma w sobie pieśni, będących owocem zabobonu, przesądów lub zwyczajów pogańskich.

Na trzynaście pieśni kolendowych słyszanych przezemnie w Czerskiem, zaledwie kilka ma na sobie cechę religijności chrześcijańskiej; pozostałe są niewątpliwie z czasów naszego pogaństwa. Jak bowiem sama uroczystość tak i wyraz kolenda *kolada* znany był i obchodzony u Słowian, a jak utrzymuje W. A. Maciejowski (1), uroczystość ta przypadała właśnie w czasie zimowego obrotu ziemi około słońca, i była podziękowaniem bóstwu za szczęśliwie ukończone zniwa.

Odbywano wówczas pewne igrzyska narodowe, opiewano znakomite czyny społecznych bohaterów i t. p.

Po wprowadzeniu religii chrześcijańskiej, duchowieństwo nie mogąc zwyczaju tego wytępić, starało się go zamienić na chrześcijański, korzystając z przypadającego około tego czasu święta Bożego Narodzenia, układali więc księża sami piosenki, tworzyli jasełka.

Lud to przyjął lecz nie zapomniał zwyczajów dawnych, utworzył więc dziwną mieszaninę, i ztąd powstały kogutki, koniki, wilki, i t. p. obrzędy ludu, będące przy-

(1) Polska i Ruś III 230, 241, 246,

pomnieniem dawnych dziwów i wiary Słowian w ludzi przemieniających się w zwierzęta.

Tym sposobem przy uroczystości świąt Wielkanocnych, przechowała się i uroczystość pogańska, tak zwany Gaik, w którym Słowianie obchodzili uroczyste powrót wiosny, a co lud zachował dotąd nie wiedząc nawet znaczenia tego.

Pogańskimi także uroczystościami były: Sobótka a więc i pieśni przy tej okazji śpiewane; dożynki, a również i cała uroczystość weselna.

A lubo powiada Maciejowski: że „gdy poczyna gmina zawsze ulegała przeistoczeniu, gdy dla tej przyczyny wątek jej utracił historyczną zasadę, przystając do nowszych i coraz nowiej wydarzających się zdarzeń, i oprócz odgłosu wydarzających się zdarzeń, i oprócz odgłosu narodowych uczuć, nie miewał w sobie nic dawnego; przeto ani dla języka, ani dla dziejów nie może ona dostarczyć zasobów pewnych:” to jednakże odpowiemy, że lubo język się zmieniał, ciemnota i zabobony ludu długo, bodaj że nie do dziś pozostały też same, wątek zaś pieśni opiewających zdarzenia i czyny, gdzieś tam w pogaństwie wyrosłe, musiał pozostać tym, jakim był początkowo, inaczej nie moglibyśmy zrozumieć wspólności wielu pieśni, w wielu narodowościach słowiańskich, które potworzyły się jeszcze przed rozdziałem owych narodowości.

Lud nazbyt jest samodzielnym i wielkim artystą, raczej tworzy a nie przerabia; dlatego można powiedzieć, że wiele bardzo z dawnych pieśni uległo zapomnieniu, ale nieprzerobieniu, że pozostałe uległy przemianie języka ale nie treści, która będąc tak bardzo starożytną, jest tém samém bardzo szacowném źródłem do historii mającej wystawić poczęcie naszego życia i organizmu narodowego.

Mówiąc o pieśniach niepodobna jest przemilczeć i o tak zwanych baśniach ludu naszego, których tu małą zaledwie próbkę z okolic Czerska załączam, a których posiadamy już kilka obszernych i dawno na widok publiczny wydanych zbiorów.

Dochowały one wątku starożytnego więcej jeszcze zapewne od pieśni i są rzeczywiście niejako obrazem pojęć wiary, przekonań, społecznego organizmu i praw staropogańskich Słowian; należy tylko oddzielić w nich to, co wpływ cywilizacji, zmiana religii i sama odległość czasów mogły obcego przymieszać.

Rzeczą to nie jest trudną, a nawet powiedzieć można, że w baśniach tych niezmiernie mało jest rzeczy będących plodem rozwiniętej cywilizacji i wyobrażeń chrześcijańskich; bo rozczytując się w nich uważnie, łatwo dostrzegamy brak wszystkiego, co by miało jakkolwiek stosunek z późniejszymi pojęciami o prawie, o układzie społecznym jaki istnieje lub istniał, z tradycjami dziejów, z tradycjami, jakich nas uczy religia; cały ich wątek, rozwinięcie, poczerpnięte jest ze świata dla nowszych pojęć chrześcijańskich, politycznych i narodowych, obcego: wszystko w nich z małemi bardzo wyjątkami oparte jest na cudowności, na ubóstwieniu natury i stworzenia, wreszcie na idei będącej podstawą najstarożytniejszych religij, to jest na wierze w przechodzenie dusz czyli metempsychozie (1).

Bóstwa starożytne pomiędzy ludźmi przestające, nie zostały w baśni wygnane, zmieniły i przybrały tylko nazwiska świętych chrześcijańskich; ale z temi samemi przymiotami, z tymże charakterem występują w baśniach dziś, jakie niegdyś lud w nich czcił, i za charakter boski w nich poczytywał.

Widny jest wszędzie dobroczynny wpływ jednych, a szkodliwy drugich na ludzkość, wszędzie niewinność, słabość uciśniona, moralność, cnota, jakkolwiek uciemnione, z pomocą bóstw biorą na koniec górę.

W ciągłym passowaniu się dwóch pierwiastków, dobrego i złego, pierwsze zostaje zawsze wywyższone, gdy drugie otrzymuje zasłużoną i nigdy niechybną karę. Ale jak przewaga i nagroda dobrego, tak pogńębienie,

(1) Zalecić tu można interesującą i sumienną pod tym względem pracę p. Józefa Grajnerta p. t. *Studia nad podaniami ludu naszego*, umieszczoną r. 1859 w Bibliotece Warszawskiej, w zeszytach za miesiąc maj, czerwiec i lipiec.

i kara złego, nie mają w baśniach tych nic wspólnego z pojęciami, jakie wyrobiło w nas dzisiaj chrześcijaństwo. Świat stary nie odrywał się od ziemi, żył silniej życiem organiczném, i dla tego niezdolnym był do abstrakcyi; wierzył wprawdzie w jakąś nieśmiertelność, w jakieś życie istniejące po za śmiercią, ale idei téj nie czerpał ze sfer, o jakich naucza chrześcijaństwo: przeciwnie, ściągał on duchowość do materyi, nadprzyrodzone tajemnicze siły stosował do zmysłowości, i według tych pojęć tworzył sobie wyobrażenie dobrego lub złego, a tak samo i wyobrażenie nagrody lub kary.

Cudowność i potworność ludowych baśni, nie powinna nas przeto zbyt dziwić: były one płodem idei, które dziś dla nas zostały obce; ale właśnie cudowność ta, jest cechą odległej i bardzo odległej starożytności.

Drugą téż niewątpliwą i takąż samą cechą ludowej baśni jest niejaka wspólność tradycyi o bóstwach, o bohaterach, potworach i tym podobnych dziwach, z religijnymi tradycjami ludów najstarożytniejszych.

W baśniach naszego ludu opowiedziane jest mnóstwo faktów, odpowiednich tym, jakie znajdujemy w bohaterskich dziejach i w mitologii Greków.

Bardzo wiele możnaby wnioskować z tego błąkania się u ludów różnoplemiennych, jednych i tychże samych prawie tradycyj, a w każdym razie baśni ludowych przyjmować nie możemy za czysty utwór fantazyi: mają one niewątpliwą podstawę nietylko w ideach, ale zapewne i w dziejach staropogańskich i bajecznych.

Jeżeli jedne i te same tradycje usiłowano tłumaczyć gdzieindziej z pomocą historii i wykazywano, że to co uchodzi za baśń i wymysł fantazyi, mogło wziąć początek z faktów w rzeczywistości kiedyś istniejących (1);

(1) Jeszcze w wieku zeszłym, uczony francuzki l'abbé Banier usiłował mitologią grecką i wszelkie podania religijne innych ludów tłumaczyć przez historję.

Wydał w tym przedmiocie obszernie dzieło: *La mythologie et les fables expliquées par l'histoire par M. l'abbé Banier de l'académie des Inscriptions et Belles-Lettres. Paris. 1764.*

jeżeli cykl bohaterski starożytnej Grecyi, przeszedł następnie z całemi swojemi bajecznemi i fantastycznemi dziejami do podań religijnych, mogło być tak samo i w Słowiańszczyźnie.

Jakkolwiek nie będziemy usiłowali dowodzić rzeczy, dla której dowodów nie ma i która co najwięcej może być prawdopodobnem przypuszczeniem, ale nie prawdą absolutną; to przecież już to samo, że w baśniach ludowych odnajdujemy wyobrażenie i rysy społeczności i idei naszych staropogańskich, już to samo czyni z owych baśni bardzo szacowną pozostałość i materiał do studiów niezmiernie ciekawych i ważnych.

Winienem zakończyć wzmianką, że zbierając i zapisując pieśni a zwłaszcza baśnie ludowe, miałem na uwadze nie tylko zachowanie w piśmie sposobu wymawiania ludowego jak w pieśniach, ale nawet sposób opowiadania, czyli dykcją starałem się jak w baśniach wiernie o ile możliwości zachować, pisząc nie z pamięci, ale tuż zaraz za opowiadającym.

Jedno i drugie, może kiedyś posłużyć jako ważny materiał albo zabytek przeszłości.

(Dokończenie nastąpi).



PIEŚNI,

PODANIA, BAŚNIE, ZWYCZAJE I PRZESADY LUDU

Z MAZOWSZA CZERSKIEGO.

ZEBRAŁ

Kornel Kozłowski.

II.

ZALOTY, WESELA.

Bardzo jest rzadkim przykładem, ażeby parobczak późniój się ożenił jak w dwudziestym lub dwudziestym pierwszym roku życia; wczesne to wstępowanie w stan małżeński, powodowane było przez długi czas chęcią zyskiwania sobie jakiegokolwiek obrony od wojska, aż w końcu zamieniło się to w zwyczaj.

Każdy chłopak miał to sobie za wygraną, kiedy mu się udało jak najprędzej mieć żonę, a tém bardziej jeszcze kiedy pozostał ojcem. Skoro parobek poweźmie zamiar ożenienia się, wówczas upatrzywszy sobie dziewczkę, któraby nie była znaną ze złych przymiotów, udaje się do znajomej sobie podeszłej jakiej kobiety i przez nią stara się wybadać zamiar rodziców lub dziewczyny i dowiedzieć się, jak on téż im się *udał* (podał).

Uproszona i uczestowana kobieta udaje się więc na tak zwane *dowiedziny*.

Obrawszy na to dzień czwartkowy, zaopatrzona przez parobka flaszką wódki, udaje się do rodziców, lub jeżeli dziewczka jest sierotą, albo w służbie, to i do niej samą; i opowiedziawszy swój interes, jeżeli pomyślną otrzyma odpowiedź, dobywa ukrytą w zanadrzu gorzałkę, i uczęstowawszy nią obecnych, zapowiada na dzień sobotni przybycie swatów.

Na takowych parobek uprasza jednego lub dwóch starszych chłopów w gromadzie, albo swoich jakich pokrewnych, albo też wreszcie *kumów* jakich ojcowych.

W dzień sobotni, zwykle wieczorem, po ukończeniu wszelkich robót, wybierają się swatowie wraz z parobkiem na *zaloty*. Iść na zaloty, jest to samo co oświadczyć się rodzicom i pannie o jej rękę.

Dawniej, gdy lepsze bywały czasy, zaloty takie odbywały się z wystawnością. Spraszano wówczas to tego, to owego do towarzystwa parobkowi; na przedzie zwykle szła muzyka, a dziewosłab piastował ogromną flacę gorzałki. Ale dziś czasy się zmieniły i zaloty odbywają się cicho, skromnie, w towarzystwie tylko dwóch swatów i nieodstępnej flaszki z wódką.

W chałupie tymczasem gdzie jest dziewczka, do której zmierzają zaloty, starają się nieco poprzątnąć, umieścić, dziewczka staranniej się nieco ubiera, a w końcu drzwi ze dworu dobrze zamyka.

Przybywszy przed chałupę i zastawszy drzwi zamknięte, starszy swat, zwany zwykle *dziewostębem*, zaczyna stukać:

— A chto tum? cego chceta? — odzywa się głos gospodyni.

— To jo, biedny podróżny: chciołem przed słotom skryć się u was.

Drzwi się otwierają, a swat wszedłszy do sieni, powiada:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków. Amen.

— A Maryś je duma? (Czy jest w domu).

— A cegóz ta chceta od ni?

— No nic; ino mi powidźcie, cy *wos* (wasz mąż) je duma?

— A je.

— To prowadźcie me do nigo, słychołem ze moćcie jałoskę na pzedoz a jo mum kupca.

Gospodyni otwiera wówczas drzwi do izby i wprowadza swata, na którego przyjęcie wychodzi gospodarz i na pozdrowienie *pochwalonym*, odpowiada jak zwykle:

— Na wieki wieków. Amen.

Przybyły swat rzuca nieznacznie okiem po izbie, i uśmiecha się do dziewczki, która czerwona i zawstydzona, kryje się za zapiekiem.

Tu nie robiąc długich ceremonij, swat powiada:

— Ot gospodozu, ślicny, urodziwy chłopok upodoboł se w wasy Marysi, i jo niby to dziwoslumb, przychodzę was pocestować gozolką za zdrowie poństwa młodych.

— A chtóz to tuki?— zapytuje gospodarz niby o niczym nie wiedzący.

Tu dopiero swat wymienia parobka z imienia i nazwiska, zachwalając jego dobre przymioty, *stotek* (rzadność) i jego ojcowiznę (majątek ojcowski).

— No i jakże, pijecie gospodozu za igo zdrowie?

— Ha,— odpowiada gospodarz, drapiąc się w głowę, — kaj juz tak koniecznie tygo chceta, to spytojtaz się Marysi, boć to tu o niu idzie. Swat obejrzawszy się po izbie, i wzięwszy stojący gdzie na podorędziu kieliszek, nalewając go wódką, powiada:

— No dziwecko, wypijno ty ten kilisecek wódecki.

Dziewka wzdragając się niby, wstydząc i zakrywając oczy fartuchem, lub końcem chustki, bierze kieliszek, a obróciwszy się tyłem do obecnych i wypiwszy gorzałkę, czémprędzej ucieka i chowa się za piec.

Najlepszą to jest wróżbą dla swatów, dla tego bez wzdragania się już dalszego, piją po kieliszku obecni, gospodarz, gospodyni; wchodzi na pewne parobek, i tak przy gorzałce, przy kawałku chleba, sera, i co jest więcej w chałupie, umawiają się wzajemnie o zapowiedzi, które najczęściej na drugi dzień w niedzielę wychodzą.

Zwykle wesela odbywają się w czasie przed adwentem lub w zapusty, zaraz po zalotach i wyjściu zapowiedzi;

zdarza się jednak czasami, że gdy zaloty się spóźnią, zwlecze się jeszcze po nich i parę miesięcy do wesela, a to jeżeli stanie na przeszkodzie adwent lub post wielki.

Przeciąg czasu pomiędzy zalotami a weselem, użytym bywa z jednej jak z drugiej strony na przygotowania do niego.

Pan młody dobiera sobie drużbów, kupuje nowy pas, sukmanę, kapelusz ozdobiony pawiem piórkiem, różnokolorowymi sznurkami i szychem, stara się o grajka, jeżeli możniejszy to o dwóch; rodzice panny młodej, u których odbywa się wesele, zaopatrują się w stóśowną liczbę kieliszków, misek, garnków, łyżek, przygotowują jadło składające się zazwyczaj z kapusty, grochu, pasternaku, flaków i mięsa.

Jeżeli to są gospodarze zamożni, to nie pożałują na taką fetę zabić krowy, wieprza, sprowadzą beczkę piwa, kilkanaście garncy wódki i przygotowują ulubiony i najwytworniejszy u chłopów napój zwany *krupnikiem*, składający się z wódki grzanej z miodem, pieprzem, cukrem i słoniną.

Koszt jednak takiej uczty, zwłaszcza na trunki, musi w części ponosić i pan młody, szczególnie jeżeli długo bardzo przeciągną się zabawy.

Panna młoda przed weselem szykuje dla narzeczonego weselny rańtuch czyli ręcznik, oraz bukiet z białą wstążką, piecze ciasto i namawia trzy druchny, które tak samo dla drużbów powinny przygotować białe rańtuchy i bukiety z czerwoną wstążką. Wreszcie, jako ostateczne przygotowanie, oboje państwo młodzi, na parę dni przed ślubem chodzą wieczorami nie raz do północa po okolicznych wioskach, zapraszając gości na wesele.

W niedzielę od rana już cała chałupa rodziców panny młodej powinna być przygotowana, izba do tańca uprzątnięta, sprzęty wszystkie prócz stołu i ław powinny być do komory przeniesione, podwórko piaskiem wysypane, a jeżeli wiosna, to zielonemi gałęziami brzeziny przystrojone i wóz do ślubu przygotowany.

Zaraz też od rana, drogą przez wieś prowadzącą jednokonna w gałęzie zielone przystrojona podąża furka,

na niej grajek skrzypkowy i trzech w granatowe kapoty ubranych družbów.

Tuż obok na małej szkapinie, bijąc ją po bokach nogami, w nowe buty przystrojonemi, spieszy *wyaligantowany* Jaśko pan młody.

Za niemi dopiero sypią się jedna za drugą furki zwożące to ojców pana młodego, to krewniaków, to kumów, to swatów, to swachny, a wszystko to zatrzymuje się przed chałupą rodziców Marysi panny młodej.

Powylegały z chałup dzieciaki, powłaziły na płoty, cisną się do okien chałupy, w której się odbywa wesele, ażeby tylko widzieć w świąteczne szaty postrojonych, przypatrzeć wielkiej i niezwykłej uroczystości.

Gospodarstwo tymczasem oczekując zebrania się całej drużyny, częstują przybyłych to wódką, to serem, to chlebem, a grajek przygrywa wesołe oberki i szoty.

Kiedy tak cała kompania już w komplecie, druchny za oknem zaczynają śpiewać:

Wyńdź do naso panno młodo, wyńdź do nas;
Jeżliś rado num, do swygo dumu prośze nas.

Wychodzi Maryśka, a tymczasem w izbie zaczynają się krzątać około pierwszego obrzędu *rozplecin*.

Wniesiono do izby i postawiono na środku wielką dzieżę służącą do zarabiania ciasta na chleb, a przewróciwszy ją do góry dnem, starszy družba przyprowadził Marysię i posadził ją na dzieży.

Druchny wzięły się sypląc jej warkocz, poczem starszy swat czyli *dziewostłab*, który urząd ten pełnił już na zalotach, biorąc tęgi batóg do ręki, rozkazuje starszemu družbie rozplatać warkocz Marysi, grożąc potężnem skarceniem za roztargnienie lub wyrwanie choćby jednego włoska z warkocza.

Kiedy družba rozplata, druchny tymczasem i swachny przy odgłosie skrzypków śpiewają:

Usińdź ze naso panno młodo na dzizy,
Niech ci się złoty warkoc rozpizy;
Jesceć ci to Maryś było rość,
Rozpuściłaś złoty warkoc na złość;

Rozpuściłaś go nibogo,
 Już ci to twygo pięknego chodu nie długo;
 Chodzi družebka po sieni
 Tżymo gzebicusek w kiesieni:
 Starszy družebko, służko mój,
 Ty mi rozplecies warkoc mój”.

Gdy po rozplecinach druchny ubierają Marysię w komorze do ślubu, družbowie i Jasko pan młody, szykują tymczasem wozy i konie, zielonemi strojąc je gałązkami, ażeby z tém większą paradą zajechać przed kościół.

Ubiór panny młodej składa się zwykle z białej spódnicy, niebieskiego lub zielonego gorsetu, białego fartucha, głowę całą opiętą ma różnokolorowemi wstęgami, których długie końce wiszą puszczone z tyłu; nad czołem mały wianeczek ze złotych nitok, włosy zaś rozpuszczone i z tyłu głowy zaczesane: strój druchny też podobny z wyjątkiem wianka złotego.

Mogą też druchny brać na siebie wstęgi lub gorsety czerwone, który to kolor w dzień ślubu z ubioru panny młodej zupełnie jest wyłączonym.

Tak ustrojona panna młoda wyszedłszy z komory, przypięła swemu narzeczonemu do piersi bukiet z rozmarynu, albo też z innych jakich drobnych listeczków, związanych białą wstążką, za pasem przewiesiła mu biały ręcznik własnej roboty, a tak samo uczyniły druchny z družbami z tą różnicą, że wstążki ich bukietów były koloru czerwonego.

Kiedy tak wszyscy już do ślubu poubierani, wnet cała gromada daje znać, że już czas jechać do kościoła, śpiewając wraz ze skrzypkami:

Předewroty, kamień złoty
 Lelija—
 Zaprowadź nos do kościoła
 Najświętsza Panno Marya.

Wówczas po mnogich już i tak poprzednio spełnionych kieliszkach, dla dodania lepszej ochoty drużynie, gospodarstwo wnoszą nowy zapas gorzałki lub krupniku, i większa połowa kompanii, a szczególnie ojcowie łączącego się stadła, przy wzajemnych a ciągłych pocałunkach i uściskach piją na zabój.

Nie jednemu wówczas dobrze w głowie zaczyra, tak, że przybywszy do kościoła, w kącie gdzie lub za ołtarzem, leży nieprzytomny.

Kiedy się cała kompania dobrze gorzałką uraczy, starszy družba, który jest tak jakby rządcą lub naczelnikiem całej drużyny, ogłasza chwilę wyjazdu.

Dopieroż więc grajek sięga za skrzypki i wtoruje śpiewowi:

Rozgłasaj panie muzykancie, rozgłasaj,
A ty dziwcyńno ojca, matkę psęprasaj;
Pseproś ojca, pseproś matkę, pseproś całą rodzinę,
By ci Pon Bóg doł, Matka Najświętsza tę szczęśliwą godzinę.

Następują więc błogosławieństwa rodziców i wszystkich obecnych, którym państwo młodzi wszystkim jak są, schylić się winni do kolan i prosić o przebaczenie wszelkiej urazy, jeżeli na takową kiedy zasłużyli.

Jeżeli idąca za mąż dziewczka jest we dworze na służbie, przychodzi zwykle i przeprasza państwa i cały ich dom, a zwyczaj ten zachowuje się nawet i względem oficyalistów dworskich i innych liczących się do wyższej klasy wioskowego społeczeństwa.

Skoro cała czereda wyruszy do kościoła, w chałupie pozostaje tylko jedna kobieta, która przyjmuje na siebie obowiązki kucharki i ta powinna przygotować weselną ucztę.

Na czele spieszącej drużyny, harcuje konno pan młody w towarzystwie družbów, za niemi na wozie pośród zielonych gałęzi, panna młoda, druchnami otoczona; dalej swat starszy i grajek co raźnie wycina oberki, potem suną furki z rodzicami młodych państwa i cała czereda zaproszonych swatów, już na furkach, już pieszo.

Wesoło dążą do kościoła, całą drogę ścigają się wózki, radosno rozlegają okrzyki i piosenki; starszy družba dodaje wesela i śmiechu, a z nim pan młody nasunawszy baranią czapkę na ucho, to rzeżko na koniu wyskoczy, to wesoło wykrzykuje oberki.

Wszedłszy do kościoła gromada udaje się prosto przed wielki ołtarz i oczekuje końca mszy świętej, a przez

cały ten czas oczekiwania, panna młoda powinna według prawideł przyzwoitości płakać, chociaż zdarza się często i to, że nie czując w sobie po temu inklinacji a chąc tak postąpić, żeby to i wilk syty i owca była cała, wielkie udawszy nabożeństwo i smutek, pochyliwszy się twarzą ku podłodze, spi jak najmocniej, na odgłos tylko śpiewu księdza lub organisty, mocne z siebie dobywając westchnienie.

Po mszy św., ojcowie lub starszy družba, miejsce ich pijanych zwykle zastępujący, załatwia wszystko w zakrystyi, poczem państwo młodzi prowadzeni, ona przez družbę, on przez druchnę przystępują do ślubu: przecież i teraz nim uklekną, powinni trzy razy obejść ołtarz dokoła, za każdym razem całując krzyż podany im przez księdza.

Wyszedłszy z kościoła po ceremonii ślubnej, dopieroż to radość, wrzawa, wesołe okrzyki, różne piosenki.

Zwykle przy wiejskim kościółku znajduje się w pobliżu usłużna karczma, do niej więc cała czereda weselna hurmem uderza, choć po jeden kieliszek gorzałki, ażeby ducha w sobie nie studzić i nabrać sił do nowej ochoty.

Nie długo się tam przecież bawiono, a powracając do domu przy odgłosie skrzypków, druchny zaczęły śpiewać pieśń następującą:

W polu ogródeczek,	Cięzki zol dziewczynie
W polu malowany,	Kiedy jój ślub dają.
Chtóż ci go zmolował?	Wysia z kościołka
Jasienko kochany;	Juzci nie dziewecka,
A wtym ogródecku	Świeci się i świeci
Czerwone goździki,	Na głowie siotecka.
Zapsegaj, zakładaj,	Siotko moja, siotko,
Te kare koniki.	Cięzys mi na głowie,
Jakże ich zapsegac?	Wionku mój ruciany,
Kiedy się pluntają,	Juz mi nic po tobie.

Na rozstajnej drodze pod figurą, przystanął przodem jadący starszy družba i zbliżywszy się do panny młodej, ofiarował jój kołacz, pytając co woli: kołacz, czy pana młodego?—Panna młoda odpowiada:

Kołoc i pona młodego,
Zeby robił na niego.

Zbliżając się do miejscowej karczmy przystanęli i znowu rozległ się śpiew:

Wyńdź do nos neso poni koremorecko,
 Wyńdź do nos;
 Weż gozolecki,
 We dwie fisecki;
 Cęstuj nos.

Ucieszona karczmarka z licznych gości, wybiegłszy przed sień, poczęła ich zapraszać, ażeby weszli do izby; goście też niedługo czekając, hurmem rzucili się do drzwi, a gdy nareszcie i grajek dotłoczyć się zdołał do ławy w kącie stojącej, rozpoczęły się tańce przy wesołych śpiewkach i wykrzykach.

Tymczasem druchny przypominając o potrzebie posiłku zaśpiewały:

Pzeleciół siwy gołumbek bez dumbek,
 Zróbze storsy družbo kołe stola pozundeck.

Družba więc z karczmarką zaczynają się krzątać i stół zastawiać, gdy druchny śpiewają:

Druzebko starsy,	Ty bundź najdbalsy,
Ty bundź najdbalsy,	Stoły zastawiajcie,
U stolika stój,	Ludzi zasodajcie,
Pozondecek strój;	Bo jaz cas.
Druzebko starsy,	

„We słowie neso karemarecko, we słowie,
 Rozposterła białe obrus na stole”.

Jest zwyczaj, że do uczty takiej w karczmie się odbywającej, wszystkie zaproszone na wesele swachny powinny przygotować zawczasu kołaczki i przyniosłszy je ze sobą, złożyć na stole dla wspólnego użytku. Gdy więc družba zastawia stół różnemi potrawami, kobiety śpiewają:

Z wiecora pod ciemne noce.
 Wyjmujcie swachny na stół kołoce.

Zdarza się czasem, że ta lub owa nie przyniesie ze sobą kołacza, wstyd to wielki; dlatego też takie starają się jak mogą najnieznaczniej, gdzieś tam hyłkiem po podścianną zająć, albo za drzwi, żeby ich nie uważano: nie

zawsze się to uda a skoro tylko spostrzegą takiego dezertera, zaraz na całe gardło wołają:

Jak do gozołki to swochny były,
Jak do kolocy, to się pokryły.

Ukończono przygotowania do obiadu, starszy družba posadził na pierwszém miejscu rodziców panny młoděj, dalej rodziców pana młodego, państwa młodych, starszego swata, a gdy się się potém kręcić zaczął, komuby następne miejsce ofiarował, druchny zanuciły:

Prosiemy cię storsy družbo, prosiemy,
Niechże my tu karcmareckę za ciosowym stołem widzimy.

Kłopot starszego družby przy rozsadzaniu kompanii jest wielki, albowiem o każdym musi pamiętać, nikogo mu opuścić nie wolno, a jeżeli przypadkiem kogoś brakuje lub w tyle się został i dla niego stosowne miejsce musi pozostawić. Żartując z tych kłopotów biednego družby, druchny przyspiewują:

Sam se rod storsy družba, sam se rod,
Uwija się kole swachnów kieby dziod;
Rozłozły nos storsy družba, rozłozły,
Buty mu się porozporoły i wiecheie wyłozły.

Tańce i obiad zajmują kilka godzin czasu, kiedy więc družyna powstanie od stołu, już się dobrze zmierzchać zaczyna; wtedy śpiewają:

Dziękujemy Najświętszy Pannie Maryi,
Po obiedzie, po dobrem,
I ponu ojcu, poni matce, ponu młodemu, ponnie młody,
Dziękujemy po dobrem.

Tymczasem rodzice panny młoděj wysunawszy się z karczmy cichaczem, naprzód podążają do domu, dla przyjęcia powracających weselników, cała zaś družyna postępuje wolniej przy śpiewie:

Zabierojcie się moje swocikowie juz nom cas,
Daleko drogo, głęboko wodo, ciemny las;
Do domu swacikowie, do domu,
Nie zastumpiajcie w téj austeryi nikomu.

Panno młodo bieczie,
Do dumu się spieście,
Zabirojcie się swocikowie już nom cas,
Do pona ojca, do poni motki na popas.

Przybywszy przed chałupę rodziców panny młodej, znajdują wrota od podwórka zamknięte. Zwyczaj to jest taki, że przybyli naprzód rodzice umyślnie się zamykają; nie zraża to bynajmniej weselników, ale zaczynają się targować o otwarciu wrót, śpiewając:

Od górza naso družyna od górza,
Uprasamy się u pona ojca u poni matki podwóza.

Wrota się otwierają, lecz nowa przeszkoda, bo drzwi do chałupy zamknięte; znowu więc śpiewają.

Z jesieni nase wesele, z jesieni,
Uprosimy się u pona ojca u poni matki do sieni.

To znowu:

Od wizby nasa družyna od wizby (wierzby)
Uprosimy się u pona ojca, u poni matki, do izby.

Wpuszczono ich nareszcie do izby, lecz tu starzy rodzice udają, że z nich są nie kontenci, że nie wiedzą po co tu przybyli, a więc nowy śpiew:

Od Worki naso družyno, od Worki,
Uprosimy się u pona ojca u poni matki gozołki.

Nowa bięda, bo gorzałkę postawiono z gąsiorem, ale kieliszka znów nie ma; więc śpiewają:

Od Gdońska nasa družyna, od Gdońska
Uprosimy się u pona ojca u poni motki kiliska.

Dopiero wnoszą kieliszki, szklanki, garnki, podają do stołu dawno przygotowane potrawy, dla których kobieta pełniąca obowiązki kucharki, cały dzień w domu zostawała, a po uczcie przy towarzyszeniu grajka zaśpiewano chórem:

Dziękujemy Ponu Bogu po obiedzie, po dobrem
I ponu gospodozowi z ponią gospodynią dziękujemy po dobrem;

A były to piecenie
 A wszystkie jelenie.
 Dziękujemy ci ponie gospodozu z ponia gospodynią, po dobrem:
 A były to koloce,
 A wszystkie z psenice.
 Dziękujemy ci ponie gospodozu z ponia gospodynią, po dobrem:
 A były tu talize,
 A wszystko poliwa.
 Dziękujemy ci ponie gospodozu z ponia gospodynią, po dobrem:
 A były tutaj noze,
 A wszystko stolowe.
 Dziękujemy ci ponie gospodozu z ponia gospodynią, po dobrem:
 A były tutaj łyżki,
 A wszystko stolowe.
 Dziękujemy ci ponie gospodozu z ponia gospodynią, po dobrem:

Poczem skłaniają się rodzicom panny młodej:

Powiedzielo synkorko,
 Ze je piwo, gozółko;
 Powiedzielo trenico,
 Ze je piwo piwnico.
 A dajciez nam, naliwojciez tego piwka dobrogo.

Późno w noc przeciągają się tańce, dopiero kiedy to ten, to ów zmęczony całodziennym ruchem, śpiewem, wesołością, rozmarzony licznymi kieliszkami wódki, piwa, krupniku, zacznie się na nogach słać i szukać gdzieś spokojniejszego kąta, to na przypiecku, to na ławie, to pod ławą, to w sieni, to w stodółce, to na poddaszu; kiedy nareszcie i państwo młodzi zamysłają udać się do przygotowanej dla nich komory, wówczas cały chór swachen przy odgłosie skrzypków wyśpiewuje następującą pieśń:

Dobronoc Matce Boski, dobronoc;
 Dobrą nockę oddajemy,
 Sami służką ostojemy:
 Dobronoc.
 Dobronoc Ponu Jezusowi, dobronoc;
 Dobrą nockę oddajemy,
 Sami służką ostojemy:
 Dobronoc.
 Dobronoc poni matce, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc ponu ojeu, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.

Dobronoc storsemu swatowi, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc storsy swochnie, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc ponu młodemu, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc pennie młody, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc młodszym swatom, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc młodszym swochnom, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc storsemu družbie, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc storsy druchnie, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc młodszym družbom, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc młodszym druchnom, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.
 Dobronoc muzykontowi, dobronoc;
 Dobrą nockę i t. d.

Przed odejściem jeszcze po kieliszku wódki, po kawałku chleba i sera, przy śpiewie:

Kiedy zasrukom zapukom,
 Do ty nowy budki,
 Wynieś-ze nom naso ponno młodo
 Chuć po kilisku wódki;
 I tok stukomy, i tok pukomy
 Az nom ustala siła:
 Wynieś-ze nom naso ponno młodo
 Chuć po kowo'ku syra.

Za chwilę rozchodzi się cała drużyna. Kilku młodszych i nie bardzo napiłych parobczaków, zmówiwszy się, zwykle gdzieś ukryci, gdy posłyszają mocne wszystkich chrapanie, dopieroż wylazłszy z kąta ściągać temu pas, temu buty, temu czapkę, a temu sukmanę. To potem do dziewcząt: téj fartuch, téj trzewiki, téj chustkę; jeden wyprowadza z obórki zadziwioną krowę, drugi ciągnie na postronku kilka kwiczących prosiąt, trzeci toczy ogromną pustą beczkę od kapusty, a przewróciwszy dnem do góry i postawiwszy na środku podwórza, dopieroż tę krowę i prosięta koło niej wiązać, a rzeczy

wszystkie ściągnięte w najdziwaczniejszy sposób, po płocie, po drzwiach, po dachu, po kominie, po drzewach rozwieszać. Uporządkowawszy tak całą chałupę, sami się kładą, a za chwilę przy bladym świetelku stojącego w popiele na kominie zarzewia, zupełne nastaje milczenie, często przerywane silnym westchnieniem podpiłego parobka, lub serdecznym chrapaniem i przewracaniem się drugich.

Nazajutrz rano, gdy słońce wyrzało na śpiących weselników, zbudzili się wszyscy; ten spogląda po sobie: nie ma sukmany, nie pamięta czyli ją gdzie schował; drugi nie wie gdzie swoją czapkę zostawił, tamten szuka pasa, ten butów, dziewczęta znowu swojego.

Wiedzą wszyscy o figlu, który nastąpił, ponieważ jest on w powszechnym zwyczaju, dlatego każdy kładący się spać, o ile mu jeszcze słaba pamięć wódką zalana pozwoliła, starał się ukryć w pewnym miejscu, ażeby mógł być bezpiecznym od rabunku.

Nic nie pomogło, wszystkich wynaleziono, każdemu coś brakuje; dlatego to teraz dziwy, wrzask, hałas: ten się ogląda po sobie, ów się odgraża.

Na podwórku tymczasem składają rzeczy zabrane około beczki. Parobczak wlaższy na nią zapowiada wielkim głosem jarmark, zapraszając i zachęcając wszystkich do kupowania swoich własnych rzeczy.

Często się zdarza, że dla lepszego rozweselenia kompanii i odwrócenia niechęci za wyrządzony figiel, parobek zapowiadający jarmark wpadłszy w zapal oratorski, silnie uderza nogą w dno beczki na której stoi.

Umyślnie słabo urządzone dno załamuje się a nieszczęśliwy orator spada nagle ze swojej wysokości, i ku ogólnemu rozweseleniu obecnych, kryje się we wnętrzu beczki, z kąd zaledwie przy pomocy drugich wydostać się może.

Po ogłoszonym jarmarku powstaje ścisk, wrzask, hałas; każdy spieszy z wykupnem za kilka groszy co swojego, ażeby czemp prędzej się ubrać i nie wstydzić z podejścia.

Uzbierany ztąd fundusz przeznaczony jest dnia tego na wspólną hulankę; posyłają zaraz do karczmy i przy-

noszą kilku-garncową flaszkę gorzałki, przy której na tańcach i wesołości upływa czas aż do obiadu, w ten sam sposób co i wczorajszy się odbywającego.

Przed wieczorem następuje ważny obrzęd oczepin panny młodej.

Na środku izby postawiono stółek, na tym ogromną pierzastą poduszkę a swachny zaczęły śpiewać:

Juz słońce zasło w rogu zapiecka,
Zabirój się mój Maryś do cypecka.

Wtém grajek odezwał się dziarskim oberkiem, a starszy družba ujawszy pannę młodą do tańca, jednym silnym zamachem stara się posadzić ją na poduszkę.

Maryś, o ile może chce tego uniknąć, w końcu jednak ulega. Tu dopiero następuje ścisk, wrzask, szarpanie: będąc raz obecny téj ceremonii, sądziłem że to bitwa jakaś nastąpiła, i gdym chciał wdaniem się mojem strony uspokoić i pogodzić, stara jedna kobieta widząc to, z uśmiechem zadowolenia powiedziała:

„Niech się wielmożny pon nie boi, tu nic złego nie będzie: to zwycój taki, to zwycój”.

Był to obrzęd zdejmowania pannie młodej trzewików: o trzewiki te powstaje spór między družbami i druchnami; zwyczaj jednak każe, ażeby te pozostały przy druchnach, a družbowie muszą je pieniędzmi wykupić.

Nowy śpiew:

Juz słońce zasło; je w rogu sieni:
Wyjmujcie swochny cypki z kieseni.

Każda z kobiet starszych zaproszonych na wesele, powinna ze sobą przynieść jakikolwiek czépek, jako podarunek dla panny młodej; jeżeli nie wszystkie pamiętały o zwyczaju, muszą wysłuchać następującej przy-mówki:

Jak do gozołki, to swochny były,
A jok do cypka, to się pokryły;
Nase swochnioki zjodły pół krowy,
Nie okryły nasy pannie młoděj ním głowy.

A wy swochny, swochneeki,
 Złóście się i na cypecki,
 Niech nie siedzi między nami
 Jako kolek uciosany.

Do oczepin przeznaczają się zawczasu ogromny czépiec tiulowy, uszyty staroświecką modą polską, z ogromną stojącą główką i wysokim podwójnym garniowaniem; w czéпки bowiem takie, jakie teraz noszą od święta, wiejskie kobiety, w okolicy Czerska, jako téż przeznaczone do oczepin, widzimy na portretach przystrojone wszystkie niemal nasze babki i prababki.

Czépek ten przybrany jest w szerokie i długie wstęgi.

Najpiękniejszy dar jaki można złożyć pannie młodéj, stanowi właśnie ów czépek; dlatego bywa on często darem albo saméj dziedziczki, jeżeli dziewczka służyła we dworze, i odznaczała się dobrém sprawowaniem; albo téż kogoś innego, jak np. pani ekonomowéj, pisarzowéj, karczmarki, owczarki, gorzelań: w ogóle kogośkolwiek z arystokracji wioskowéj.

Jeżeli zaś nikt z powyższych osób daru tego nie ofiaruje, w takim razie kobiety starające się o czépek, udają się z nim zwykle do pani ekonomowéj lub innéj podobnéj prosząc o przystrojenie czepka podług swojego gustu.

Nim ten czépiec dostanie się na głowę pannie młodéj, kładą jéj po rozpleceniu warkocza, różne czéпки ofiarowane przez swachny, które ona zdejmuję i chowa pod fartuch; następnie swachny wydzierają chłopom czapki i te pakują na głowę Marysi: dopiero ci datkiem pieniężnym, każdy z osobna musi swoją czapkę wykupić, a pieniądze ztąd uzbierane są już wyłączną własnością panny młodéj.

Kiedy jéj włożą czépek weselny, uważa się wówczas za oczepioną, a swachny śpiewają:

Nasa Marysia, nasa
 Będzie gozółki fłasa;
 Przyjdź ponie młody da nas;
 Wykupis se juz od nas,
 Nasa Marysia, nasa

Będzie gozółki fłasa,
 Warta Marysia, warta
 Będzie gozółki kwarta;
 Walec Marysia, walec,
 Będzie gozółki gorniec;

Zrobiliśmy ci panią,
Pięknie ci patzyć na nią;

Wśródzie bendzie siodoła,
Gozoleckę spijola.

Przysępuje potém pan młody trzymając w rękę dwie flaszki: jedną z wodą, drugą z wódką; nalawszy kieliszek wodą podaje go pannie młodej, lecz ta wzięwszy kieliszek z wodą wylewa go na pana młodego, mówiąc: iż nie zwyczajna pijać wody kieliszkiem.

Obrażone niby swachny takim lekceważeniem względem panny młodej, zaczynają się dopominać zadosyćuczynienia; więc pan młody nalawszy kieliszek wódką, przy ciągłych okrzykach: „Wiwat! pije zdrowie Marysi”, kieliszek od niego przechodzi do starszej swachny, od tej do panny młodej, następnie do starszego swata i tak dalej wszystkich kolejno obchodząc.

Tymczasem grajek zaczął grać pieśń zwaną *chmielelem* i starszy družba, włożywszy pannie młodej trzewiki, poszedł z nią w taniec, przy śpiewie druchn i družbów:

Zebyś ty chmielu na tycki nie laźł,
Nie robiułyś ty z ponienek niewiast;
Oj chmielu, oj nieboze,
Niech ci Pon Bóg dopomoze:
Chmielu nieboze.

Ale ty chmielu po tyekoch lażis,
Nie jedną ponnę z wionecka zdrażis;
Oj chmielu, oj nieboze,
Niech ci Pon Bóg dopomoze:
Chmielu nieboze.

Oj chmielu, chmielu, ty bujne ziele,
Nie bandzie pzez cię zadue wiesiele;
Oj chmielu, oj nieboze,
Niech ci Pon Bóg dopomoze:
Chmielu nieboze.

Oj chmielu, chmielu, ty rozbójniku,
Rozbiułeś dziewczynę na pastewniku;
Oj chmielu, oj nieboze,
Niech ci Pon Bóg dopomoze:
Chmielu nieboze.

Przy tym śpiewie panna młoda przetańczywszy ze dwa razy około izby ze starszym družbą, każdemu

z obecnych powinna skłonić się do nóg i prosić z sobą do tańca, niepomijając najmniejszego dziecka: byłoby dla niej wielkiem zmartwieniem, gdyby ktoś odmówił jej prośbie. Nieraz w chałupie znajduje się gromada złożona z sześćdziesiąt lub osmdziesiąt ludzi, ze wszystkimi jednak, choć parę razy wkoło izby trzeba przetańczyć: to téż pot strumieniem się leje z czerwonej twarzy Marysi, ale za to gdy skończy taniec, rozpoczyna się pocieszająca dla niej ceremonia, albowiem starszy družba biorąc przygotowany talerz białą okryty serwetą, każdego z gości obchodzi w towarzystwie druchen, które śpiewają:

Tseba jěj doć, nie załować,
Tseba jěj doć ciele z kojca;
Odstępuje matki, ojca:
Tseboć jěj, tseboć jěj,
Bo już idzie od maci.
Tseboć jěj dać na sitko,
Bendzie miola na wsytko;
Tseboć jěj dać na wzeciuno,
Powi Jasio: dobrze zuno.
Tseboć jěj dać na nieculkę

Bedzie miola kompoć córkę,
Tseboć jěj doć na gornusek
Bedzie jodoł bębłusek (chłopiec).
Tseboć jěj doć na floseekę:
Una lubi gozoleckę.
Tseboć jěj doć na miskę,
Tseboć jěj doć na łyżkę,
Tseboć jěj doć na wszystko,
Na gospodarstwo nie załować.

Poczęły się sypać złotówki i dziesiątki, każdy z jakim mógł, spieszył datkiem; starszy družba zgarnął zebrane pieniądze, które zwykle kilkadziesiąt złotych, a czasem i nierównie więcej wynoszą i na nowo obchodzić zaczął, zaczynając od rodziców panny młodej:

Pani matko nie załujze,
Chuć talorka podarujze.

a gdy mu dano miedziaka:

Oj wie tego, nie tego,
Tseba jěj doć białego.
Ponie ojce nie załujze,
Chuć talorka podarujze.
Starsy swocie nie załujze
Chuć talorka podarujze,
Starsa swochno nie załujze
Chuć talorka podarujze.
Młodse swoty nie załujciez
Chuć talorka podarujciez,

Młodse swochny nie załujciez
Chuć talorka podarujciez,
Starsa druchno nie załujze
Chuć talorka podarujze.
Młodse družby nie załujciez
Chuć talorka podarujciez.
Młodse druchny nie załujciez
Chuć talorka podarujciez,
Muzykconcie nie załujze
Chuć talorka podarujze.

Panie młody nie żalujze Oj nie tego, nie tego
Chuć talorka podarujze. Tseba jěj doć białogo.

A gdy pan młody ociąga się z datkiem:

Panie młody nie bundź głuchy,
Bo jěj tseba na pieluchy,
Panie młody nie żalujze,
Chuć talorka podarujze.
Oj nie tego, nie tego
Tseba jěj doć białogo.

Pan młody oddaje więc swój woreczek z pieniędzmi, czyli jak chłopci nazywają *kalotkę*, musi jednak wysłuchać przymówkę:

Ceber wody wychleptola
Nim selunzek wydeptola.

Rozmaite sceny miewają prócz tego miejsce, jakoto: kulenie panny młodej, gdy kto mały datek położy, podkuwanie jěj nóg głównią i t. p., wszakże sceny te nie należą do obrzędu, a zależą raczej od wesołości, humoru bawiących się i wystawności wesela.

Następuje w końcu kolacya, w czasie której posługują druźbowie; ci wnosząc misy z potrawami, za każdą razą pozdrawiają biesiadujących *pochwalonym* i śpiewają stósownie do potrawy, jaką niosą:

Niesiem rosół z gajdokami (kartoflami)
I różnemi mięsiwami.
Niesiem miskę pełną jogły (kaszy jaglanej)
Zeby się druchny najodły.
Niesiem gajdy z kapustą.
Smačno, słono i tłusto.

Zasiedli potem druźbowie, a druchny zaczęły im nawzajem usługiwać.

Na ostatnie danie wnoszą ogromny garnek przykryty miską i stawiając go na stole, śpiewają:

Niesiem wom zwiezyne, zwiezyne,
Jakieście nigdy nie jedli.

Starszy druźba wstaje z ciekawością, zdejmując pokrywę z garnka, a wtém ogromny kot wyskakuje na stół

i przestraszony zmyka prosto na zapiecek lub do sieni: śmiech i wrzask powstaje wielki.

Sagan krupniku kończy tę kolacją, a nim goście od stołu powstaną, starszy swat wzięwszy do ręki warząchew, uderza nią w stół i woła:

Naso kuchorecko gotowało piepsno, słono;
Tera prosi zeby jój co dano.

Sypią się wówczas piątki, groszaki, trzygroszniaki, i kucharka znajduje w tém wynagrodzenie za swoją pracę.

Na tém zwykle kończy się obrzęd weselny, chociaż jeszcze przez dni kilka, zazwyczaj rozochoceni ludziska piją i hulają. Przed laty, ku wielkiemu zawsze zmartwieńniu rządców i ekonomów, wesela nigdy krócej nie trwały nad tydzień; najpilniejsza choćby była wówczas w polu robota, jeżeli we wsi lub w drugiej było wesele, nie było co robić, tylko poddawszy się losowi, cierpliwie czekać, póki nie przejdzie weselny tydzień i wódka z głowy nie wyszumi.

Po weselu dopiero następowały częste i gęste razy; ale wszystko to naprožno: był to już taki zwyczaj, a zwyczaj u chłopów, zwłaszcza taki, do którego wchodziła zabawa lub wódka, był prawem świętym, nietykalnym, którego strzegł jak oka w głowie i obstawał za niem tak, jak dawniejsza drażkowa szlachta krzyczała za swoim *liberum veto*.

Dzisiaj, czegoby wówczas nic w świecie nie oduczyle, tego po części bieda, a głównie zmiana stosunków włościańskich oducza. Rzadko już dzisiaj usłyszeć o weselu, któreby tydzień trwało: po większej części ograniczają się teraz na *trzydniówce*.

Radykalna zmiana, jakiej od pewnego czasu uległ odwieczny byt naszych włościan, przez zniesienie pańszczyzny i usunięcie ich z pod władzy dziedziców, nie mogła pozostać bez ogromnego wpływu na ich zwyczaje i tradycje; zerwany został węzeł patryarchalny, który niegdyś łączył pana z chłopkiem; pilno temu ostatniemu zakoszować nowej swobody, jakiej się wreszcie doczekał, i ani chce wiedzieć o zwyczajach, jakich się względem swoich panów trzymali dawniej ojcowie.

Tak np. bywał przed laty zwyczaj, który jeszcze zapamiętam, przed rokiem 1846, że ojcowie łączącej się pary, przed weselem przychodzili do dziedzica, radzić się, jak powiadali *starszej głowy* i prosić o pozwolenie i błogosławieństwo dla dzieci.

Po weselu zaś, trzeciego dnia, to jest we wtorek, zwykle oboje państwo młodzi przychodzili z rana do dwora, przynosząc państwu w ofierze kawałek ciasta pszennego i séra.

Nazywało się to *stólinami*, jako pochodzące ze stołu, to jest z wieczerzy pożywanej drugiego dnia, czyli w poniedziałek, i za ofiarę tę nowożeńcy hojnie bywali obdarowani. Najpierwsza ofiara, ta, jaką odbierał dziedzic od nowożeńców, sięgała może jeszcze odwiecznych czasów przedchrześcijańskich pogańskiej kunicy.

Ale zwyczaj ten pewno już poszedł w zapomnienie, a tak samo wiele innych tradycji i pamiątek, dawnych stosunków dawnego społeczeństwa, pojęć, wyobrażeń, instytucyj i przesądów, które przez ciąg mnogich wieków pomiędzy naszym ludem się kołatały, bezpowrotnie dziś ginie i wiecznemu ulega zapomnieniu.

III.

NIEKTÓRE ZWYCZAJE I PRZESĄDY.

Mieszkanie.

Spojrząwszy na chałupę poznać to zaraz można, jeżeli w niej jest dziewczka, mająca chęć pójścia za mąż: są to białe znaki, któremi dziewczki całą chałupę od dołu do góry pod poszycie dokoła wapnem obznacząją.

Około chałupy tak obznaczonej i widnej z daleka, bywa zwykle porządniej nieco jak około drugich: przede drzwiami codziennie zamiecione, pod okienkiem kilka kwiatków, najczęściej żółtych nagietków, chruścianym płotkiem ogrodzonych.

Porządek ten bywa rekomendacją dobrych przymiotów dziewczki, przed okiem parobczaka szukającego żony gospodarniej.

Na progu chałupy przybitą być powinna podkowa końska, dla ochrony mieszkańców domu od uroków i czarownic.

Zwyczajem też jest powszechnym, w wigilią św. Jana obwieszać poszycie chałupy, czyli dach gałązkami bylicy, której kilka wiązek wraz z piołunem, zarzuca się także i na poszycie.

Wewnątrz mieszkanie gospodarza jest następujące:

Wchodząc z sieni, po jednej stronie jest mieszkanie ludzi, a po drugiej bydła, zwłaszcza krówki lub najczęściej świnki albo wieprza.

Prosto z sieni wchodzi się do izby: tu znajduje się komin, piec do chleba czyli szabaśnik, murek czyli zapiecek, będący w zimie siedzibą kur, oplacających się za to wczesnem znoszeniem jaj i wysiadzaniem kurcząt.

Stoi tu łóżko zasłane niebieską lub różową pierzyną, czasem dwa; parę stołków czerwono malowanych, stół na krzyżowych nogach, pułki do zatykania łyżek, stawiania mis i garnków, a na ścianach kilka obrazów częstochowskich i palma z Kwietnej niedzieli.

Jest to dla chłopka wystarczające: w tej izbie on prześiaduje, sypia, jada wraz z żoną, dziećmi i parobkiem, a codziennym tam bywa gościem i wieprzak, któremu gospodyni ładuje szaflik ciepłych pomyjów.

Jeżeli przytém przybędzie gospodorzowi wśród zimy ciele lub gromadka prosiąt, wychowują się one wspólnie korzystając wzajemnie z ciepła, z jednego pochodzącego ogniska.

Z tyłu chałupy, za izbą jest komora, czyli alkierz, zwykle ciemny, bez okna, tylko używający światła z wyciętej dziury w ścianie, zamykającej się odpowiednim kawałkiem bala osadzonym na czopie.

Komora ta jest właściwie tak, jakby skarbem włościanina: tam się przechowuje odzienie, płótno, przedziwo, zboże w worku, beczka z kapustą, często pieniądze w garnku, w kącie piaskiem przygrzebane. Stoją tam skrzynki

malowane w żółte i czerwone kwiaty i tam sypiają dorosłe dziewczki, jeżeli te znajdują się w chałupie.

Wychodząc z mieszkania na robotę, zwłaszcza wśród lata, lub do kościoła, albo na jarmark lub wesele, gospodarze zamykają chałupę na kłódkę, jeżeli w izbie są małe dzieci: bywa to często dla nich powodem nieszczęśliwych przypadków śmierci z oparzelizny lub spalenia, przez rozgrzebanie ognia przysypanego popiołem na kominie i brak ratunku.

Zamykanie to nie chroni nawet mieszkania od złodzieja, gdyż takowy dostaje się najczęściej do izby wystawwszy okno, słabo na zewnątrz wsadzone, i tylko gwoździem ze dworu przybite.

Zaraz za chałupą pod oknem znajduje się dół albo piwnica ziemią obsypana, w której zamożniejsi gospodarze trzymają produkta takie, których w izbie lub alkierzu pomieścić nie mogą, jak kartofle i kapustę: w pewnym zaś oddalenia od chałupy, jest stodoła i obórka.

IV.

UBIÓR.

Ubiór włościanina jest następujący: letnią porą, w dnie robocze, najczęściej chodzą boso, w spodniach płóciennych z wyciągniętą na wierzch koszulą zapiętą w biodrach paskiem skórzanym, u którego wisi na rzemyku *cyganek* albo *kozik*, to jest nożyk w drewnianej osadzie.

Na głowie kapelusz niski filcowy, obciągnięty u dołu białymi i czerwonymi sznurkami, złotym szychem i przyozdobiony na przodzie pawiem piórkiem.

Kobiety zamężne noszą spódnice w białe i niebieskie pasy, z tak zwanego szorcu, także fartuchy, na szyi kolorowe bawełniane chustki; głowa związana w chustkę białą lub kolorową.

Tak samo chodzą i dziewczki, nadto kładą na ramionach fartuch szorcowy na podobieństwo płaszcza zawiązując go na piersiach.

Dzieci nieodmiennie zimą i latem chodzą w jednej tylko koszuli, bez czapki i boso; starsze dopiero, które zaczynają bydło lub świnie pasać, odziewają się fartuchami matczynemi; kładąc je na głowę, zawiązują pod szyję: tym sposobem robią sobie rodzaj płaszcza, mając zarazem i nakrycie na głowę; na nogi wdziewają stare ojcowe buty, ztąd chód wieśniaków od lat najmłodszych staje się dowolnym i ociężałym.

Zimową porą wieśniacy na codzień kładą kożuchy, na które wdziewają sukmany z grubego siwego sukna; kobiety ubierają się w długie kaftany kolorowe na wacie: z resztą ubiór ich nie tyle jest ciepły co mężczy.

Na święto używają granatowej kapoty, długiej do kolan z czarnymi guzikami, bez żadnej innej ozdoby ani czerwonych kłapek, jak to ma miejsce pod Warszawą; na wierzch przepasują się wełnianym pasem w kilku kolorach: najczęściej w czerwonym i zielonym. Koszula karbowana u szyi zawiązana na ponsowy faworek czyli wstążeczkę, buty z długimi cholewami ściągnięte u kolan rzemykiem, jak podwiązka.

Na głowie najczęściej kapelusz powyżej opisany, czasem wysoka barania czapka, a dosyć często tak zwany kaszkiet czyli furażerka, to jest zwyczajna czapka z daszkiem.

W ogóle strój ten nie jaskrawy wygląda poważnie i porządnie.

Strój kobiet świąteczny jest taki: spódnica albo *kiecka* powinna być kwiecista; na kartonowej koszuli gorset ponsowy lub niebieski, albo innego koloru byle jaskrawy; na szyi kilkanaście sznurków koralu i paciorków z bursztynu lub szkła kolorowego; szkaplerz na czarnej tasiemce: chustka kolorowa na ramionach.

Na głowie u kobiet zameężnych duży czepiec z białego tiulu, u dziewcząt chustka biała lub kolorowa z puszczoneym z tyłu końcem, za którą zatykają w lecie kwiatki, jak: żółte nagietki, włoskie piwonie, bez i t. p.

W zimie bogatsze gospodynie używają tak zwanych *przyjaciółek* sukiennych, jasno zielonych z mosiężnymi guzikami, podbitych barankiem z kłapami i kołnierzem lisywym; uboższe noszą przyjaciółki granatowe bez futra,

lub jak pod te drogie czasy, używają najczęściej długich watawych kaftanów.

W innych okolicach kraju, wiejskie kobiety są gospodarniejsze, jak w Czerskiem: wyrabiają same płótna, pasy dla mężczyzn, a nawet sukno na sukmany i szorc dla siebie na kiecki.

Ale w okolicy Czerska rzadko która z kobiet umie robić płótno, a wszelkie odzienie kupuje się na jarmarkach w Gorze Kalwaryi, Grójcu i Warce.

Dostarczycielami są żydzi, cena zaś odzieży w czasach obecnych nieproporcjonalnie się podnosi. Za sukmanę, za którą płacono przed laty kilkunastu złp. 18, dziś potrzeba dać zł. 40; buty męskie kosztują dziś zł. 24, trzewiki dla kobiety zł. 8, kozuch zł. 80.

Jeżeli mieszkańcy miast narzekają na drożyznę, widzimy, że wieśniacy témbardziej drogo muszą opłacać swoje potrzeby. Parobek biorący dziś w Czerskiem rocznie zł. 150, a w innych okolicach kraju po zł. 120, a nawet taniej, w żaden sposób nie jest w stanie za jednoroczną płacę sprawić sobie całkowitego ubrania.

V.

UMARLI.

Jeżeli ktoś w chałupie umrze, wtedy jako znak tego, przede drzwiami przewracają kołami do góry wóz ten, który ma służyć do wywiezienia ciała.

Jeżeli to gospodarz czy parobek zmarł, wówczas znajomi jego schodzą się, myją go, czeszą, ubierają w koszulę i spodnie, często na nogi kładą pończochy, bardzo zaś rzadko wdziewają buty, ponieważ to nie jest we zwyczaju.

Jeżeli zapisanym był do bractwa, to mu kładą do ręki krzyżyk, albo szkaplerz, i tak chowają.

Trumna bywa zwykle zbita z desek niemalowanych, z czarnym krzyżem, na wieku węglem narysowanym.

Kobiety zmarłe ubierają tak, jak się za życia nosiły, stosując się nawet do upodobania zmarłej w ubraniu głowy.

Kolory, w jakie zmarłą kobietę godzi się ubierać, są: żółty, biały i niebieski; kolor czerwony jak do ślubu, tak i do trumny wcale się nie używa.

Długi czas po śmierci rodziców, krewnych a nawet i kumów, staraniem żyjących jest dawać za nich na przypominki, które po kilka lat nawet się ciągną.

Mogily zabitych.

Na mogiłach przypadkowo zabitych czy to po lasach, czy przy gościńcach, każdy z przechodzących winien zawsze porzucić gałązkę; tworzą się ztąd dość znaczne kupy, które kompanie pobożnych udające się do miejsc świętych, palą.

Znaczenia zwyczaju tego lud dzisiaj już nie rozumie, ale go tradycyjnie aż dotąd przechowuje.

Samobójcy.

Przykłady samobójstwa u ludu, lubo nie dość częste, ale się zdarzają. Wiesniak nie wiele wagi przywiązuje do życia, skoro na niego napadnie ciężka jaka turbacya, na którą nie może sobie poradzić.

We wsi pod Czerskiem, kobieta niezbyt dawno wyprowadziwszy dzieci do lasu na jagody, kiedy mąż pracował u żniwa, zamknęła się w chałupie, wypila pół kwarty wódki i położywszy się na murku, kosą gardło sobie przerznęła.

W innéj znowu wsi, pastuch jesienną porą gdzieś zginął; znaleziono go dopiero przypadkiem na wiosnę, powieszono go i wyschłego już na górze nad wozownią, na którą nikt przez całą zimę nie zaglądał: był to pijak i włóczęga.

Wisielników takich, jak ich lud nazywa, chować się powinno na rozstajnych drogach i jest powszechna wiara, że djabli ciągnąc do piekła duszę człowieka powieszono, sprawiają mocny wichur na świecie.

Upiór, Strzyga.

Upiór a strzyga jest wszystko jedno. Są różne sposoby zaradzenia temu, ażeby upiory nie szkodziły.

Jeżeli o zmarłym jest pewność, że będzie upiorem, to można go położyć w trumnie twarzą na dół, a plecami do góry, albo też należy mu uciąć głowę i włożyć między nogi.

Jeżeli ktoś pochowany już z grobu wstaje i przeszkadza, należy grób odkopać i trumnę postawić naodwrot: tam gdzie była głowa, to nogi, a gdzie nogi, to głowa, albo jeżeli nie to, trzeba przebić trupa kołkiem osikowym.

Strzyga po śmierci we dnie niewidzialna, najczęściej przebywa nad kościołem, nad chórem kościelnym i ztamtąd różnemi głosami się odzywa. Ktokolwiek z familii strzygi pokaże się w kościele, a strzyga go zobaczy, ten w krótkim czasie musi umrzeć.

Ludzie, którzy są strzygami, takimi się już urodzili: poznać to można po dziecku, które przychodzi na świat z zębami.

Z m o r a.

Jeżeli kobieta, która przyjdzie trzymać dziecko do chrztu, a będąc pijana, i mówiąc za księdzem pacierz, zamiast powiedzieć Zdrowaś Marya, powie po pijanemu *Zmorać*: taka zostaje zmorą.

Chodzi ona zawsze blada i nędzna w nocy, choć sama o tém nie wie; wstaje zawsze i cokolwiek wówczas napotka, to dusi.

Jeżeli napotka bydłę, to dusi bydłę; jeżeli drzewo, to drzewo, a jeżeli człowieka a najczęściej mężczyznę, to się kładzie na niego i dusi.

Nikt zmory zobaczyć nie może, ponieważ ona w rozmaite rzeczy potrafi się przedzierać, a najczęściej w słomę.

Kto już nieraz doświadczał duszenia zmory, a chciałby się od niej uchronić, powinien idąc spać położyć się

głową tam, gdzie były pierwój nogi, a nogami tam, gdzie była głowa.

Zmora przyszedłszy myli się i myśli, że człowiek tak samo śpi jak dawniej; kładzie się i nogi mu dusi.

Można téż zmorę omylić i innym sposobem, idąc spać gdzieindziej, a na dawném miejscu zrobiwszy posłanie, uwiązać pęczek słomy i przykryć go: zmora wówczas myśląc, że to człowiek, dusi słomę.

Upewniano mnie, że to wszystko o zmorach jest prawda najświętsza.

Czarownice.

Można poznać czarownice następującym sposobem: wieśniak, któryby chciał to zrobić, powinien w ostatni wtorek zapustny schować kawałek sera i ciągle go przy sobie nosić, ażby wysechł; dopiero w samą wielkanocną niedzielę będąc w kościele, powinien wleźć na chór, a włożwszy ser w gębę, będzie mógł widzieć wszystkie czarownice, które są tylko w kościele: przekona się wówczas, że nie wszystkie siedzą w szkopkach na głowie, tyłem do ołtarza i żadnych świątobliwości nie widzą, tylko przed każdą stoi kostór i pomiotła, choć na oko zdają się być takimi kobietami, jak drugie.

Kto się jednak odważy na to, powinien być wytrwałym, gdyż w czasie tym kiedy będzie ser przy sobie nosił, różne go będą nawiedzać choroby, strachy, kolki, ale nic na to zważać nie powinien.

W czasie processyi około kościoła, nigdy czarownica trzy razy kościoła nie obejdzie, ale tylko dwa, a za trzecim pod jakim bądź pozorem, albo się zostanie na boku, albo téż nieznacznie gdzieś się wymknie.

Czarownice, jak wiadomo, odbierają krowom mleko, ale mają one taką moc, że jeżeli mleka dla jakichbądź powodów odebrać nie mogą, to potrafią go zepsuć tak, że albo będzie się doilo czerwone jak krew, albo téż choćby go zaraz nawet po udojeniu przystawić do ognia, to się natychmiast zwarzy.

Chcąc odwrócić czary od krów i wrócić im mleko, potrzeba świeżo przyniesione od krów przelać, albo przez

dziurę z wypadłego sęka w wiórku lub desce jakiej, albo przez rozpalony sierp, albo przez rozpaloną podkowę końską.

Ktoby też chciał zmusić czarownicę do powrócenia krowom mleka, przytém ukarać ją i dowiedzieć się zarazem, która to z nich psotę zrządziła, powinien powązkę, przez którą się mleko cedzi, włożyć w nowy garnek, włożyć w nią *trzy dziewięci*. (zapewne trzy razy po dziewięć) szpilek, nalać wodą i pod szpuntek gotować.

Przyleci wówczas czarownica i będzie się kręciła koło ognia, będzie zaglądać, będzie się dopytywać, co to w tym garnku się gotuje, a koniecznie będzie go chciała wywrócić, gdyż tyle kolek ją męczy, ile szpilek włożonych jest w powązkę; ale trzeba garnka dobrze pilnować, żeby go czarownica nie mogła przewrócić.

Cyganie.

Cyganie uchodzą powszechnie za czarowników. Oprócz ciągnięcia wróżb z ręki i kabał, któremi zajmują się cyganki, lud utrzymuje, że cyganie posiadają sztukę wypalania starych pajęczyn w stodółach, oblegających belki, krokwie i łąty, a to bez zapalenia słomianego poszycia.

Roznoszą oni także pomiędzy ludem a szczególnie pomiędzy dziewczętami korzonki jakieś zwane *lubkiem*, mające niby służyć do obudzenia miłości w mężczyźnie.

Ztąd wyrażenie *zadać komuś lubka*, znaczy czarami zmusić do miłości.

Owczarze.

Wielkimi także czarownikami są owczarze: lud wierzy w ich znajomość sztuki lekarskiej, w moc czynienia złego przez czary, oraz w to, że umieją choroby żągnąć czyli tajemniczymi słowami je leczyć.

Sami owczarze uwiedzeni tym powszechnym o nich rozgłosem, oddają się nieraz zabobonnym praktykom.

Przed laty kilkunastu pamiętam jednego owczarza, który dla tego aby się uchronić od wojska, udał się do czarów; głośno się już w końcu odzywał, że przyszedł do tego, iż nie tylko wojska ale samego djabła się już nie lęka. Los jednak zrządził inaczej, owczarek wzięty został do wojska.

W jakiś czas potem ludzie wyrzucając gnój z owczarni, znaleźli schowaną w nim ludzką głowę nie zupełnie jeszcze z ciała opadłą; pokazało się, że owczarek zmówiwszy się z drugim z sąsiedniej wsi, poszli raz w nocy we dwóch na kierkut żydowski do miasteczka Góry Kalwaryi, a dobywszy zmarłego niedawno żyda, głowę mu ucięli i dla zaprzyjaźnienia się z djabłem, różnym z tą głową oddawali się po nocach przesadnym praktykom.

Gadki i baśnie.

Łatwo bardzo pomiędzy ludem tworzą się przesądne gadki i baśnie: w każdym zdarzeniu niezwykłym wieśniak rad upatruje przyczyn nadprzyrodzonych.

Komety będące zawsze przepowiednią wojen, pomoru lub innych klęsk, zaćmienia, zjawiska meteorologiczne, lata zbyt mokre lub suche, cholera, wywołują po wsiach proroków, o których w okolicy długi czas rozpowiadają.

W czasie mokrych lat pomiędzy rokiem 1845 a 1855 pamiętam, że opowiadano w okolicy Czerska o liście z nieba spadłym i znalezionym pośród lasów, na jednym polu zwanym Upadek, do dóbr Czaplinka należącym.

List ten zawierać miał przepowiednie klęsk, i był groźbą na zbyt znaczne zepsucie, jakie się zagęściło pomiędzy ludźmi.

Opowiadano także w czasie grassującej cholery w roku 1852, jakim sposobem cholera dostała się pod Czersk.

W okolicy miasta Warki mieszka szanowny bardzo obywatel pan G. S.; otóż jednego razu, w r. 1852, pan

G. S. jechał z kąci z za Pilicy, a przejeżdżając przez most na rzece pod Warką czy pod Mniszewem, zobaczył stojącą na tymże moście pannę, całą w bieli. Panna poprosiła przejeżdżającego żeby ją zabrał z sobą na bryczkę, a ujechawszy z nim kawałek drogi, niespodzianie stanąć kazała, zsiadła, podziękowała za grzeczność, oświadczyła że jest cholera i zdziwionemu panu G. S. z przed oczu zniknęła. Rozumie się, że pan G. S. który w tej gadce odegrał rolę najważniejszą, o niczem podobnem nie wiedział.

Sposoby szkodzenia.

Nic łatwiejszego, jak komuś, do którego się ma urażę, zaszkodzić; dosyć jest tylko zakupić na niego świecę do kościoła, a wówczas ten, na którego świeca została zakupiona, dopóty tylko żyć będzie, dopóki się ta świeca nie wypali: poczem w najokropniejszych męczarniach musi życie zakończyć.

Ale potrzeba być człowiekiem złym i zawziętym, ażeby się do tego sposobu uciekać.

Złodzieja zgładzić można ze świata podłożywszy rzecz podobną do téj, jaką ukradł, pod umarłego, a niezawodnie w krótkim czasie umrze.

Można także komuś zaszkodzić, narazić go na chorobę lub na upadek w dobytku, spojrzawszy na niego źle; można oczami lub słowem w złej chwili wymówioném kogoś *urzeknąć* czyli *zadać mu urok* zupełnie nawet pomimowoli.

Na to są różne sposoby odczyniania uroków, praktykowane przez kobiety doświadczone i wytrawne.

Potrafiają one także chorobę do mieszkania podrzucić.

Szmaty u krzyża.

Częstokroć widzieć się dają szmaty uczezione u figury, czyli krzyża przy wsi stojącego: są to szmaty pochodzące z bielizny osób chorobą złożonych, które tym sposobem chcieliby z choroby wybawić.

Ktoby się przypadkiem połakomił na szmatę u figury związaną, do tego przeniosłaby się choroba osoby, do której szmata należała.

Złe, czyli djabeł.

Siedzibą djabłów czyli miejscem gdzie zwykło przebywać złe, są bagna i ługi w pośrodku lasów lub w miejscach odludnych położone. Stare kopce, mogiły i wzgórki jakie się po lasach znajdują, były podług mniemania ludu przez diabła sypane na pamiątkę, czyli też w posagu dla córki jego, kiedy ją za mąż wydawał.

Wianki i Zioła.

Zioła potrzebne do wianków, jakie się święcą na Boże Ciało są następujące:

Boże drzewko, kopytnik, grzmotek, rozchodnik, macierzanka, nawrotek, rosiczka i czosnek borowy.

Wianeczek taki poświęcony w kościele, powinien dotrwać do nowego; dobrze jest okadzać nim jeżeli się *bolak* (wrzód) jakiś wyrzuca na ciele lub jeżeli bydło słabuje.

Na Matkę Boską Zielną dają święcić powiązane w pęczki zioła następujące: piołun, bylica, trzoszek, wrotycz, marchew, buraki, pietruszka, pasternak, żyto, pszenica, proso i groch.

Jaskółka, skowronek, kukułka, bocian, niedźwiadek.

Lud przekonany jest o tém, że jaskółki zimują w wodzie: na wiosnę stare jaskółki w niej pozostają i giną a tylko młode powracają. Pan Bóg dopuścił na jaskółki tę karę za to, że one łapią pszczoły.

Skowronki także na zimę nie odlatują, ale zimują pod kamieniami.

Kukułka na zimę przemienia się zawsze w kobusa, nigdy ona jak wiadomo gniazda dla siebie nie uściela i jaj swoich nie wysiaduje; ale je składa do gniazd innych drobniejszych ptasząt i te zmusza do wysiadywania.

Gniazdo bocianie, znajdujące się we wsi chroni ją od gradów i piorunów. Zakładając nowe gniazdo dla bociana, potrzeba mu włożyć koniecznie kawałek lusterka, żeby się przeglądał i pieniądze, żeby sobie rachował; inaczej bocian gniazda nie przyjmie. Zabijać bociana nie godzi się; zbyt wiele deszcze w r. 1855, przypisywali niektórzy temu, że chłop jakiś zabić miał bociana.

Kto pierwszy raz zobaczy na wiosnę bociana w locie, jest to dobrą wróżbą: czasem to wróży podróż, najczęściej dobre zdrowie; złą jest wróżbą, jeżeli się zobaczy bociana siedzącego.

Chcąc w czasie suszy sprowadzić deszcz, należy złapać robaka w ziemi siedzącego, zwanego *niedźwiadkiem* i takowego na gałęzi powiesić: pomaga to niezawodnie.

Robak nazwany *maik*, który się znajduje tylko na wiosnę, moczony w oliwie, jest najskuteczniejszym środkiem przeciwko wściekliznie.

Nietoperz.

Kto złapie *latoperza*, to jest nietoperza, niechaj go zanieś nocną porą do lasu i tam zagrzebie w mrowisku; po kilku dniach przyszedłszy do tegoż miejsca, znaleźć można tam kościane grabki i widelki. Pragnąc sobie kogoś zjednać, dosyć jest temi grabkami nieznacznie go ku sobie pociągnąć, tak samo jak odepchnąwszy kogoś widelkami, można go na zawsze od siebie oddalić.

Grzechotki, święcenie bydła i owsa.

Zwyczaj jest powszechny w Czerskiem, że chłopcy w Wielki Piątek przez cały dzień biegają koło kościoła z grzechotkami i grzechoczą.

W dzień św. Rocha bydło się dogania przed kościół i tam się święci; na św. Szczepan święcić się zwykł w kościele owies: dawanie poświęconego owsa bydłu, chroni go od chorób i upadku.

Mierniki.

Jest przesąd u ludu, że jeometra, który za życia niezręcznie wymierzał pola, wskazany jest po śmierci na błąkanie się nocną porą po tychże samych polach, a wtedy oczy mu się świecą jak latarnie, czyli lud powiada jak u wilka; zobaczywszy więc w oddaleniu światelko jakie, którego sobie wytłumaczyć nie umie, powiadają że miernik idzie.

Skarby, pieniądze zakopane.

Pieniądze w ziemi zakopane bywają dwojakie: *złe* i *dobre*.

Dobre są te, które się palą przed południem i po południu; *złe*, które coś złego pilnuje, palą się w południe samo i wśród nocy.

Pieniądze paląc się wydają zawsze płomień niebieskawy, który się unosi po nad ziemią; poznać można miejsce w którym się pieniądze paliły, po okrągłych dziurach w ziemi, przez ogień wypalonych, na podobieństwo tych jakie powstają od robaków.

W jednej wsi pod Grójcem, widzieli raz ludzie w samo południe jak się pieniądze w borze paliły; zebrała się cała wieś, przyszedł także i ksiądz ze święconą wodą i zaczęli kopać. Wykopali dół ogromny i zobaczyli w ziemi wielką skrzynię żelazną; już, już mieli ją dostać, sięgnęli po nią rękami, aż skrzynia z łoskotem głębiej w ziemię zapadła: odskoczyli wszyscy na bok, patrzą aż skrzynia znowu na wierzch wychodzi; sięgnęli drugi raz, na próżno, głębiej się jeszcze zapadła i znowu potem na wierzch wyszła! Widząc że pieniądze te muszą być złe, ksiądz wziął święconej wody z kropidłem i skrzynię pokropił: wtedy z ogromnym hałasem skrzynia całkiem w ziemi przepadła.

Przerazili się bardzo obecni, a widząc że nic przeciwko złemu duchowi nie poradzą, dół zasypali i nikt już więcej do tych pieniędzy się nie dobijał.

Miejsce cudowne w Czerskiem, zabytek pogaństwa, kamień Matki Boskiej.

Wieś Pieczyńska odległa mil dwie i pół od Czerska, w której jest murowany kościół Matki Boskiej, znana jest powszechnie jako miejsce słynące cudami; liczne ściągają tam ze wsi okolicznych kompanie, udające się na głośne, na całą tamtejszą okolicę, odpusta.

W kościele tamtejszym, jako świadectwo cudu, zawieszony jest sierp już do połowy rdzą zjedzony. Tym sierpem, dziewczka jedna miała kiedyś w dniu Matki Boskiej Zielnej, nie zważając na święto, rznąć trawę dla krów: za karę, z dopuszczenia Bożego sierp przyrosł jej do ręki. Chodziła potem i tu i owdzie, modliła się po kościołach, ale nic nie pomagało, aż przyszła do Pieczyńsk, zaczęła się modlić gorąco do Matki Boskiej, a sierp zaraz odpadł jej od ręki: na pamiątkę dziewczka sierp ten pozostawiła w kościele.

W kruchcie tegoż kościoła znajduje się kość z jakiegoś zwierzęcia przedpotopowego, długa przeszło na cztery łokcie i dosyć gruba: lud utrzymuje, że to jest zebro z *wielko-luda*, ale zkąd ono się tam wzięło i na jaką pamiątkę, tego nikt nie wie.

Rzeczą jest bardzo do prawdy podobną, że w miejscu tém, niegdyś za czasów pogańskich, w pośród rozległych lasów krainę tę zalegających, znajdować się mogła świątynia bogom pogańskim poświęcona, a cudowność do miejsca tego tradycyjnie została przywiązana. Na domysł ten wprowadza niewątpliwie pozostałość pogaństwa znajdująca się tu, która dziś część chrześcijańską odbiera i do której z dalekich wiosek lud ściąga.

Opodal od kościoła, na polu pod lasem jest kamień, na którym w przekonaniu ludu są ślady wędrówki Matki Boskiej, kiedy w tych stronach po świecie chodziła. Powiadają, że jest na nim znak od wysiedzenia taki, jaki na poduszce się robi gdy kto usiedzie, jest ślad wyciśniętej nogi i także kijka którym się Matka Boska podpierała, oraz kotka który chodził za Matką Boską po świecie.

U tego kamienia w każdy odpust mnóstwo ludu na klęczkach się modli i powiadają że choćby największe bywały deszcze i wody, nikt z modlących się podówczas zmoczonym nie będzie.

Wiadomo jest każdemu zajmującemu się mitologią starożytnych Słowian i rozpatrującemu się w pozostałościach owych czasów, w podaniu i baśni ludowej, że lud dawne swoje pogańskie tradycje o bogach i boginiach przeobraził z czasem na baśnie niby to chrześcijańskie, nie zmieniając bynajmniej pierwotnego ich i bałwochwalczego wątku.

Ztąd powstały cudowne opowieści o Panu Jezusie, o Matce Boskiej, o świętym Piotrze, o św. Mikołaju, których wyobrażenia ludowa podstawiała w tradycji w miejscu dawnych bogów i bogiń.

Wiadomo jest między innemi, że dawne tychże wędrówki po świecie, lud przypisał później świętym chrześcijańskim i tak się właśnie rzecz ma z wędrówką Matki Boskiej, która po różnych stronach Polski, według przekonania ludu miała dawniej przebywać.

Chodził za nią w podróży tej, podług jednych piesek a powszechniej lud utrzymuje że kotek.

Znaną jest baśń litewska o pewnej bogini *Lajmie* opiekującej się płodami ziemskimi, która litując się nad pewną kobietą od myszy w dobytku swoim napastowaną, z rękawka swego stworzyła kotkę.

Gdy następnie Matka Najświętsza zajęła miejsce owę bogini *Lajmy*, przeto lud litewski do tego czasu nazywa kotkę rękawkiem Matki Boskiej.

Jak na Litwie tak samo i w Polsce, również coś podobnego musiało mieć miejsce.

Chrześcijaństwo nie mogło krzewić baśni o Panu Jezusie, siwym dziadku dającym się wiskać dziewczętom podróżującym po polach i lasach wraz z świętym Piotrem i narażonym na różne przypadki; o świętym Mikołaju otoczonym wilkami, przesiadującym po lasach i zamieniającym żarzące węgle na złoto; o Matce Boskiej mającej w niebie trzy pokoiki i trzymającej w nich cudowne jabłuszko, błakającej się samotnie po lasach z kijkiem i kotkiem i zaglądającej czasami do chałup wiejskich.

Lud to pamiętał dzieje dawnych bogów i o nich do dzisiaj prawi, a nawet co więcej, miejscami czci pamiątki po nich, okrywając je wiarą i mianem chrześcijańskim.

Byli niegdyś bogowie dobrzy i bogowie źli, jedni przeszli na świętych, drudzy zmienili się w diabłów lub czarowników; z dawnych pozostały jeszcze strzygi, upiory, i t. p.

Jak Pan Jezus zastąpić mógł dawnego Jesse, lub pòdług niektórych Radogosta, jak św. Piotr miał zastąpić Dadźboga, bóstwo dobre i wymierzające ludziom sprawiedliwość, karzące złych; tak Matka Boska musiała także zastąpić boginię dobrą, szczególnie u ludu czczoną, niegdyś z nim przebywającą i która po wielu miejscach w kraju miała swoje świątynie.

Taka właśnie znajdować się musiała we wsi Pieczyskach, a kamień na którym lud upatruje ślady Najświętszej Panny i czią świętobliwą go otacza, równą cześć odbierać musiał jeszcze za czasów naszego pogaństwa.

W każdym razie rzecz warta jest bliższego zastanowienia, i dla tego zwracamy na nią uwagę starożytników i znawców krajowej archeologii.

